

ISSN 1897-1083

ECHA POLESIA

№ 3(43)2014 KWARTALNIK POLAKÓW NA POLESIU

POLACY BRZEŚCIA W HOŁDZIE ROMUALDOWI TRAUGUTTOWI

WARSZAWSKA SYRENKA RODEM Z POLESIA

PAWEŁ PROKOPIENI – ZAPOMNIANY ŚPIEWAK Z POLESIA



"W kroplach rosy wschód nad Prypecią"

Foto Alaksiej Dubrouski

Mój kraj

Mój kraj miał granice swoje w sercach ludzi,
przemocą wykreślone z politycznej mapy.
Mój kraj, pod szponami bezlitosnej łapy
umierał, żył, walczył, zrywał się i trudził.
W moim kraju nie zawsze wystarczało chleba,
a w chlebaku nie zawsze starczało naboi.
W moim kraju nie liczył się ten co się boi,
tylko ten, który umrzeć potrafił jak trzeba.
W moim kraju najprostszą chadzało się drogą,
choć jej koniec uciekał poza mgłę przyszłości,
bo ideał kobiercem pod stopy się mościł
i dyktował pieśń ustom i sprężystość nogom.
Krocie lat przeleciały, ptaki na wyraju.
Obce drogi krok trudzą pod nieswoim niebem.
Gdzie cię szukać, mój kraju z twoim gorzkim chlebem,
mój niesforny, uparty, mój jedyny kraju?
Burze ścichły, opadła kurzawa zawiei.
Nowe zręby wzniesiono i nowe powały.
Nowe życie, w myśl nowej płynące uchwały,
szuka nowych sygnałów i nowych nadziei.
Są granice, są flagi, polityczne ciało.
Ale myśl, kornik-drukarz, po nocach mnie budzi:
Jak mi ciebie, odnaleźć znowu w sercach ludzi,
kraju, za który umrzeć tak łatwo bywało?

Zbigniew Kabata – "Bobo"
Urodzony w 1924 r.
w Jeremiczach koło Kobrynia,
zmarł 4 lipca 2014 r. w Nanimo (Kanada)

SPIS TREŚCI



'ECHA POLESIA'
Kwartalnik Polaków na Polesiu

Adres Redakcji:
Brześć, 224023
ul. Moskiewska 344 – 56
e-mail: klub_polski@wp.pl
www.echapolesia.pl
tel.: w Brześciu:
00-375-162/42-45-72
Kom. z RB MTS (33) 672 19 37
Kom. z RP 0-037533 672 19 37

Redaktor naczelny:
Alina Jaroszewicz

Projekt jest realizowany we współpracy z Fundacją Wolność i Demokracja i współfinansowany ze środków otrzymanych z Ministerstwa Spraw Zagranicznych w ramach konkursu na realizację zadania "Współpraca z Polonią i Polakami za granicą w 2014 r."

WOLNOŚĆ I DEMOKRACJA

Rzeczpospolita Polska
Ministerstwo Spraw Zagranicznych

Dziękujemy za współpracę Fundacji Pomocy Szkołom Polskim na Wschodzie im. T. Goniewicza, wszystkim naszym Wiernym Czytelnikom, Przyjaciołom i Wolontariuszom, miłośnikom Polesia.

Adres korespondencyjny:
Alina Jaroszewicz
ul.N.Paganiniego 7/21
20-850, Lublin

Kolportaż: Polska, świat
Fundacja im. Goniewicza,
20-611 Lublin
ul. Kazimierza Wielkiego 9/60
tel.: (81) 444-8531
kom.: 605-828-137
e-mail: fundgon@gmail.com
www.fundacjagoniewicza.com.pl
KRS 0000103209

Skład i łamanie:
Olga Brazińska

Zapraszamy do polubienia naszej strony na Facebooku
facebook.com/EchaPolesia

POLACY BRZEŚCIA W HOŁDZIE ROMUALDOWI TRAUGUTTOWI



Drogowskaz do Placu R. Traugutta

Forum Polskich Inicjatyw Lokalnych Brześcia i Obwodu Brzeskiego w latach 2012 – 2014 zorganizowało szereg działań skierowanych ku czci Romualda Traugutta i powstańców styczniowych z okazji 150. Rocznicy Powstania Styczniowego.

Jeszcze na wiosnę 2012 roku doszło do spotkania dzielnych Polaków z Brześcia i Prużany z ks. Janem Wasilewskim, miejscowym proboszczem, który pokazał, w jakim stanie znajduję się miejsce, związane z imieniem dyktatora



Powstania Styczniowego Romualdem Trauguttem. Tutaj, na Ziemi Kamienieckiej w Szostakowie 16 stycznia 1826 roku w dzierżawionym przez ojca Romualda dworku przyszedł na świat przyszły bohater narodowy Polski i Białorusi.

Postanowiono było po tej rozmowie nie tylko posprzątać od krzaków, chwastów, ale przygotować to miejscepod Plac Romualda Traugutta, który zamierzono wybrukować kamieniem, obficie "zasianym" pobliskie pola. Postanowiono również zwiększyć uwagę społeczeństwa białoruskiego do historii Powstania Styczniowego oraz jego bohaterów, jako wspólnego dziedzictwa kulturowego w celu zachęcenia do opieki nad tym ważnym zabytkiem historycznym.

Pierwsze grupy wolontariuszy wyruszyły z Brześcia już wiosną 2012 roku. Wtedy obok głazu z tablicą pamiątkową z roku 2003 zostały **posadzone ozdobne krzewy**, a młodzież usłyszała ciekawe opowiadanie o Traugucie, o Powstaniu Styczniowym i o zbliżającej się 150. Rocznice Powstania Styczniowego oraz o tym, że 5 dnia w każdym miesiącu ks. Jan Wasilewski modli się wraz z wiernymi podczas Mszy Św. o beatyfikację osoby Romualda Traugutta jako symbolu poświęcenia i męczęństwa dla Ojczyżny.

Dzięki pomocy Konsulata Generalnego RP w Brześciu oraz przychylności gospodyni terenu Heleny Niesteruk wolontariusze uporządkowali teren oraz nasypali żwir na placu, wyczyścili główne ścieżki w niegdyś

pięknym parku i zaczęli badać historię Powstania Styczniowego. Owocem tych badań został **”Folder informacyjny ”Szlakiem Romualda Traugutta i Powstania Styczniowego po Polesiu 1863 – 1864”,**



wydany w roku 2013, w którym umieszczona została mapa upamiętnionych i nieupamiętnionych miejsc, związanych z powstaniem styczniowym oraz krótkie opisy bitew i potyczek odbytych na naszej ziemi autorstwa S. Zielińskiego, a także bibliografia trauguttowska.W styczniu 2013 r. w Polskiej Szkole Społecznej Im. I. Domeyki odbył się Konkurs wiedzy o Romualdzie Traugucie i Powstaniu Styczniowym, a także rajd po miejscach Powstania Styczniowego wspólnie zorganizowany z KG RP w Brześciu. Dalszym krokiem było wyrobienie dwóch tablic: pamiątkowej, z okazji rocznicy powstania, umieszczonej w kościele pw. Św. Trójcy w Kamieńcu w styczniu 2013 r., a także informacyjnej, która w językach polskim i białoruskim przybliża postać R. Traugutta wszystkim, odwiedzającym Plac R. Traugutta w Szostakowie i umieszczona została na Placu.

Dalsze działania ku chwale powstańcom styczniowym i R. Traugutta polegały na **wyrobieniu krzyży i odnowieniu je na grobach powstańców na Polesiu**. »»»




Nowy krzyż na mogile powstańców styczniowych we wsi Woronie


Podpis foto


Nowy krzyż na grobie powstańców styczniowych w Bokiniczach



15 marca 2014 – pracy na placu R. Traugutta

»»» Pierwszy memorialny 6,5-metrowy krzyż został postawiony w Szostakowie na Placu R. Traugutta w październiku 2013 r., drugi krzyż postawiono we wsi Bokinicze rej. pińskiego na zbiorowej mogile powstańców na byłym cmentarzu dworskim obok cmentarza wiejskiego, trzeci – w miejscowości Woronie, rej. stolińskiego na zbiorowej mogile powstańców styczniowych, gdzie kiedyś stał dworek polski. Również odnowiona została tablica nagrobkowa na pomniku powstańca styczniowego i sybiraka Antoniego Szołomickiego, który spoczywa na starym cmentarzu wsi Brodcze w rej. pińskim.

Do **brukowania Placu R. Traugutta** doszło w dniu 15 marca 2014 r., kiedy harcerze DH im. R. Snarskiego, rodzice, wolontariusze Forum Polskich Inicjatyw Llokalnych Brześcia i Obwodu Brzeskiego licznie przybyli do Szostakowa. Mimo niesprzyjających warunków pogodowych plac został wybrukowany na połowę. Następna ekipa harcerzy pracowała w dniu 21 czerwca, uczestniczyli w tych działaniach i członkowie instytucji kulturalnej "Dziedzicz" z Brześcia, także pracy trwały podczas obozu zuchowego 12 lipca, kiedy dzieci oraz rodzice ułożyli kolejny pas kamieni.

APEL KU CZCI ROMUALDA TRAUGUTTA

5 sierpnia 2014 roku w Szostakowie rej. kamienieckiego odbył się Apel ku czci Romualda Traugutta w 150. Rocznicę Jego Śmierci. Odprawiono Mszę Świętą



za duszę bohatera narodowego, Msza była celebrowana przez ks. Andrzeja Borodzicza. Poświęcony został krzyż wzniesiony ku pamięci naszego rodaka oraz tablica informacyjna w języku polskim i białoruskim. Obecni byli Konsul RP w Brześciu Robert Nowakowski, Cezary Nowogrodzki – animator kultury z Białej Podlaskiej, Ryszard Boś – członek zarządu Fundacji Kościuszkowskiej z Warszawy, przedstawiciele miejscowej władzy rej. kamienieckiego na Białorusi: Mikołaj Budziłowicz – prezes miejscowej Rady Wiejskiej, Mikołaj Gromik – kierownik wydziału ideologii i kultury kamienieckiego komitetu wykonawczego, prezes Fundacji Kościuszkowskiej z Brześcia Leonid Niesterczuk, krajoznawca Mikołaj Własiuk, Dyrektor PSS im. I. Domeyki w Brześciu Alina Jaroszewicz, harcerze DH im. R. Snarskiego w Brześciu, harcerze DH im. R. Traugutta w Grodnie, przedstawiciele UTW "Uścisk Dłoni" w Brześciu, koordynatorki Forum Polskich Inicjatyw Lokalnych Brześcia i Obwodu Brzeskiego Halina Mickiewicz oraz Janina Prudnikowa.

Wszyscy zjednoczyli się w modlitwie za duszę R. Traugutta podczas Mszy Świętej, po zakończeniu której odśpiewano ROTĘ. Następnie delegacja udała się do domu Adama oraz Haliny Mickiewiczów w pobliskich Peliszczach na piknik harcerski, gdzie podczas wspólnej integracji planowano nowe działania ku godnemu upamiętnieniu naszego bohatera narodowego.

Działania te oraz sama atmosfera rocznicowa przyczyniły się do ocalenia wspólnego dziedzictwa kulturowego, popularyzacji historii Powstania Styczniowego i osoby Romualda Traugutta, również posprzyjały integracji z miejscowym środowiskiem.

Hanna PANISZEWA





Piknik harcerski w Peliszczach



Ksiąz Jan Wasilewski oraz Hanna Paniszewa przy nowej tablicy ku czci Romualda Traugutta



NA MOTORZE SZLAKIEM MĘCZEŃSTWA POLAKÓW

Po raz pierwszy za 14 lat swojego istnienia Międzynarodowy Motocyklowy Rajd Katyński rozpoczął trasę swej podróży nie od Grodna, a od Brześcia. Spowodowane to było pragnieniem motocyklistów odwiedzieć Szostakowo, miejsce urodzin ostatniego dyktatora Powstania Styczniowego, spotkać się z miejscowymi Polakami, którzy tworzą tam Plac Traugutta, troszczą się o ślady polskiej historii i kultury.



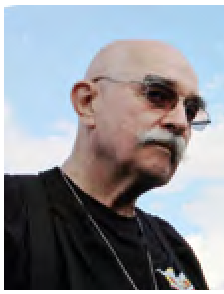
W tym roku sprzed Grobu Nieznanego Żołnierza w Warszawie 23 sierpnia wyruszyło 70 motocyklistów. Wszyscy oni jadą, znosząc trudności i niewygody długiego przejazdu, szlakiem męczeństwa i zwycięstw Polaków, aby odwiedzić i uczcić te miejsca, które są niezapomnianymi kartami w historii Polski.

“Ta trasa nie jest krótka ani łatwa, są tu trudności i niewygody, ale my jedziemy co rok, bo jesteśmy złączeni ideą podtrzymywania pamięci o najważniejszych wydarzeniach w historii Polski, oraz zwrócenia na nie uwagi dzisiejszej młodzieży” – powiedział uczestnik rajdu *“Na motorach wszystkich uczestników podziwialiśmy piękne napisy: “Ja kocham Polskię! I Ty kochaj!”*

Z okazji 150. rocznicy męczeńskiej śmierci bohatera Polski i Białorusi powstał zaaranżowany przez społeczność polską z Brześcia i Peliszcz plac z krzyżem oraz tablicą informacyjną o Romualdzie Traugucie. Mszę Świętą w warunkach polowych na Placu Romualda Traugutta w Szostakowie celebrował ks Dariusz Stańczyk, który wygłosił piękne kazanie o miłości do Ojczyzny. Modliliśmy się wspólnie o beatyfikację Romualda Traugutta. Także uczestnicy Rajdu Katyńskiego odwiedzili groby polskich żołnierzy na cmentarzach w Brześciu, gdzie złozyli wieńce i zapalili znicze. Towarzyszyli im harcerze DH im. Ryszarda Snarskiego. Rajd odwiedził także Kosów Poleski, Mazurki oraz Hruszówkę.



Podczas spotkania z brzeskimi Polakami komandor Rajdu Katyńskiego Wiktor Węgrzyn powiedział, że ten projekt jest protestem przeciwko totalnemu kłamstwu we współczesnym świecie:



“Dzisiejszą młodzież nie uczą w szkole rzetelnej i prawdziwej wiedzy o historii naszej Ojczyzny. Dlatego można



powiedzić, że Rajd zrodzil się z tęsknoty do prawdy, do dobrej i dumnej, do tej dawnej Rzeszypospolitej. Dlatego my jesteśmy dziś tu i jedziemy mejscami pamięci o naszych bohaterach, aby dotknąć tego, co w Polskiej historii jest najważniejsze ".

Po noclegu w Szostakowie motocykliści wyruszyli do Kosowa Poleskiego, Mazurek oraz Hruszówki, dalej do Kuropat pod Mińskiem i do Orszy, żeby uczcić 500. rocznicę bitwy z wojskami moskiewskimi.

Do Polski rajd powróci tylko 13 września. Uroczyste zakończenie rajdu odbędzie się 14 września przy Pomniku Katyńskim w Warszawie.

Julia BEŁORUSOWA





UROCZYSTOŚCI W PRUŻANIE





Uroczystości obchodów świąt Wniebowzięcia Najświętszej Marii Panny w Prużanie w tym roku wyjątkowo przedłużyły się na dwa dni – za przyczyną obchodów stulecia urodzin ks. Kardynała Kazimierza Świątka, który swoją posługę duszpasterską w 1939 r. rozpoczynał jako wikary właśnie w kościele parafialnym pw. W.N.M.P. w Prużanie.

Z okazji jubileuszu urodzin ks. Kardynała przed Mszą św. w kościele nastąpiło uroczyste odsłonięcie i poświęcenie pamiątkowej tablicy, którego dokonał przybyły do Prużan na zaproszenie dekanatu wieloletni kanclerz Kurii Biskupiej w Pińsku – jeden z najbliższych współpracowników Kazimierza Świątka – ks. dr Stanisław Pawlina. Wspominając o swoim przełożonym i przyjacielu w homilii podczas Mszy św., podkreślając wyjątkowość osobowości i zasług ks. Kardynała,ks. Stanisław powiedział: „… *stał się księgą, którą będą próbowały odtworzyć historycy, pisarze, scenarzyści i filmowcy – już teraz próbują to czynić – ale tak naprawdę, księgę tą potrafi odtworzyć tylko Chrystus…*”.

Po Mszy św. dalszy ciąg uroczystości nastąpił na rzymsko-katolickim cmentarzu parafialnym przy ul. Gorka. Złożono wieńce, zapalono znicze i odmówiono „Anioł Pański” przy kwaterze żołnierzy Wojska Polskiego z 1920r. Przybyła na czele delegacji KRP w Brześciu Konsul Generalny Anna Nowakowska dziękowała wszystkim zebranym za pamięć i utrzymanie porządku w tym miejscu. Złożono wieńce i zapalono znicze również na położonej obok kwaterze wojsk niemiecko-austriackich oraz rosyjsko-bolszewickich. Chwilą ciszy uczczono pamięć wszystkich poległych, w tym nieznanych żołnierzy.

Warto też dodać, że tegoroczne uroczystości odpustowe w Prużanie ,zawdzięczając codziennej żmudnej, przez dwa sezony, pracy ks.proboszcza Roberta Iskrzyckiego CM wraz z wiernymi – odbyły się w całkowicie wyremontowanym i odnowionym od zewnątrz kościele.

Eugeniusz LICKIEWICZ





„KORONA POLSKIEGO WYCHOWANIA" JUŻ W BRZEŚCIU

Nowy rok nauczania w Polskiej Szkole Społecznej im.I.Domeyki w Brześciu zaczyna się od wprowadzenia programu *„Korona Polskiego Wychowania"*. Autorem programu jest Fundacja *Szczęśliwe Dzieciństwo*, która od ponad 20 lat realizuje w Polsce działania na rzecz dobrego wychowania młodego pokolenia. Program *Korona Polskiego Wychowania* pozwala zbudować optymalne warunki do edukacji, sprzyja rozwijaniu zainteresowań uczniów orzaz podnosi kompetencje wychowawcze nauczycieli. Misja programu jak najbardziej pokrywa się z misją naszej Szkoły, a mianowicie pomaga w kształtowaniu ludzi o silnym systemie wartości, świadomych patriotów i obywateli. Przed wpowadzeniu programu do procesu nauczania PSS nasi uczniowie i nauczyciele odwiedzili Fundację *Szczęśliwe Dzieciństwo* i wzięli udział w warsztatach przygotujących do wdrażania go w system naszej Szkoły.

W lipcu młodzież PSS miała okazję po raz drugi uczestniczyć w Warsztatach Akademii Młodzieżowej w Motyczu Leśnym. W ciągu prawie 2 tygodni młodzież aktywnie uczestniczyła w szkoleniach i treningach. Początkowo młodzież została podzielona na mniejsze zespoły, zadaniem których była realizacja różnorodnych inicjatyw na rzecz całej grupy. Dzięki specjalistycznemu podziałowi (grupa medialna, kulinarna, animacyjna, turystyczna i teatralna) młodzież mogła odkryć swoje predyspozycje i nauczyć się budowaniu zespołu opartemu na wspólnym działaniu. Działania polegały na kształceniu umiejętności liderskich, organizacyjnych, uczeniu się itd. Końcowym elementem programu był pokaz finałowy, który był wydarzeniem podsumowującym działania poszczególnych grup tematycznych prezentujących wszystkie dokonania.

Podniesieniu kompetencji wychowawczych nauczycieli był poświęcony sierpniowy program dla nauczycieli pt.: „Edukacja skoncentrowana na potrzebach dzieci, młodzieży i społeczności lokalnej – klucz do sukcesu edukacyjnego" w Motyczy Leśnym. W tym programie wzięła udział 6-osobowa grupa nauczycieli z Polskiej Szkoły Społecznej wraz z nauczycielami z Litwy, Ukrainy i Rosji. Program składał się z liczych wykładów, lekcji, spotkań i wyjazdów studyjnych. Nauczyciele mieli okazję poznać program *„Korona Polskiego Wychowania*" i w nim uczestniczyć. Realnym podsumowaniem efektywności programu były spotkania z dyrektorami lubelskich szkół, którzy już wprowadziły program do swojego systemu nauczania i wychowania. Narzędzia zdobyte podczas szkolenia zostaną wykorzystane w procesie nauczania dzieci i młodzieży PSS im.I.Domeyki i będą zaprezentowane pod koniec października 2014 roku w ramach w Dni Społecznych poswięconych dwudziestoleciu międzywojennemu.

Lilia POTONIA,
wicedyrektor Polskiej Szkoły Społecznej im.I.Domeyki w Brześciu

KONFERENCJA „ZWIĄZEK OBROŃCÓW WOLNOŚCI – NIEZNANA KARTA HISTORII BRZEŚCIA”



29.08.2014 r. w Centrum Edukacyjnym IPN w Warszawie odbyła się Konferencja ”Związek Obrońców Wolności – nieznana karta historii Brześcia” zorganizowana przez Forum Polskich Inicjatyw Lokalnych Brześcia i Obwodu Brzeskiego . Konferencja podsumowała kolejny etap prac badawczych uczniów oraz nauczycieli Polskiej Szkoły Spolecznej im. I. Domeyki na temat historii tajnej polskiej młodzieżowej organizacji Związek Obrońców Wolności działającej w Brześciu i na obszarze Polesia.Walczyła ta organizacja o prawa człowieka na ziemiach wcielonych do ZSSRpo drugiej wojnie światowej w latach 1945 –1948. Dowódcą został wybrany Zygmunt Stachowicz, ps. „Żmudzin”, zastępcami – Leonard Konikiewicz, ps. ”Topola” oraz Ryszard Snarski, ps. „Soroka”, duchownym opiekunem ZOW był ks. Wacław Jaziewicz, ps. „Żuraw”. Celem

organizacji było ratowanie polskości na tych terenach przed rusyfikacją, bolszewizmem i wynarodowieniem, szerzenie świadomości narodowej, utrwalanie wartości polskiej kultury, organizowanie nauczania polskiego języka i historii. Działacze ratowali polskie pamiątki, krzyże, miejsca polskiej pamięci narodowej, wspomagali potrzebujących Polaków. ZOW nie stawiał przed sobą celów



zbrojnych, gdyż nie widział sensu takiej walki. ZOW działał w Brześciu, Kobryniu, Peliszczach, Baranowiczach, Nieświeżu, Horodcu, Załuziu, Kamieniu Litewskim. W szczytowym momencie swojej działalności liczył blisko 200 osób. Na skutek zdrady w lipcu 1948 roku działacze ZOW zostali aresztowani i skazani na 25 lagrów na Workucie i dalej na 5 lat pozbawienia praw obywatelskich. Tylko po śmierci Stalina w roku 1956 mogli wrócić do Brześcia. Część działaczy wyjechała do kraju, niektórzy pozostali na ziemi ojców.

Historia tej organizacji jeszcze utrzymuje „białe plamy", dlatego, że ważniejsze źródła – akta śledcze członków ZOW z roku 1948 – pozostają niedostępne dla historyków z przyczyn prawno-politycznych. Wspomnienia członków ZOW stają się pod tym względem węgielnym kamieniem otwarzania tej nieznanej karty historii Brześcia. Uczniowie Polskiej Szkoły Społecznej im. I. Domeyki w ciągu lat 2007-2011 nagrali trzy filmy dokumentujące wspomnienia członków ZOW, zebrali bibliografię dotyczącą historii ZOW, uczestniczyli w Programie Edukacyjnym IPN „Opowiem ci o wolnej Polsce".

W konferencji wzięli udział nauczyciele oraz uczniowie PSS im. Domeyki, harcerze, liderzy Forum Polskich Inicjatyw Lokalnych Brześcia i Obwodu Brzeskiego, członek ZOW – Stanisław Selutin, córka członkini ZOW Ariadny Teleman – Lucja, wdowa po zastępcy ZOW Ryszardzie Snarskim – Ewa Snarska, bratanica członka ZOW – Danuta Zboinska, oraz inni członkowie rodzin. Ich wspomnienia podczas Konferencji uzupełniły obraz dziejów ZOW. Referat pt. „Związek Obrońców Wolności – nieznana karta historii Brześcia" wygłosiła mgr Hanna Paniszewa – nauczycielka historii PSS im. I. Domeyki w Brześciu.

Konferencja zorganizowana tuż przed nowym rokien szkolnym w Centrum Edukacyjnym IPN w Warszawie wzmocmiła więź Polaków z Brześcia z Macierzą, także pomoże uczniom, nauczycielom, polskiej społeczności w Brześciu i Obwodzie Brzeskim lepiej zrozumieć dzisiejszą sytuację Polaków na Białorusi oraz przyczyni się do szerzenia zainteresowania historią Polaków w Brześciu i Obwodzie Brzeskim.

Dziękujemy wszystkim uczestnikom oraz Centrum Edukacyjnemu IPN za udostępnienie sali. Szczególne wyrazy wdzięczności kierujemy również do członków XIV Rajdu Katyńskiego, którzy sfinansowali przyjazd delegacji z Brześcia do Warszawy.

Hanna PANISZEWA

"OJCZYSTEJ ZIEMI SŁYSZĘ ŚPIEW":

DZIESIĘCIOLECIE DZIAŁALNOŚCI ARTYSTYCZNEJ CHÓRU POLSKIEGO „CANTUS CORDIS" Z MIŃSKA



Przy każdej sprawie, przy każdej myśli,
Czy coś działamy, czy coś sobie śnimy,
Jesteśmy zawsze i wszędzie chórzyści
Co śpiewem ziemię z niebem łączymy...
(A. Brazgunou, chórzysta)

Kultura muzyczna konkretnego narodu zawsze była środkiem utrwalania jego odrębności etnicznej. Trudno zatem nie zgodzić się ze stwierdzeniem, że pieśń to dusza narodu. Bogate tradycje narodu polskiego w dobie globalizacji wspomagają zachowanie wartości narodowych, wychowanie młodego pokolenia, jak również jednoczą rozsianych po całym świecie Polaków.

Honorowa misja popularyzacji oraz zachowania pieśni i tradycji Polaków na Białorusi stała się celem chóru polskiego „Cantus Cordis" z Mińska, który w październiku br. obchodzi swój jubileusz dziesięciolecia. Z punktu widzenia historii i współczesności nie jest to dużo, ale jeżeli chodzi o los zespołu lub człowieka – jednak sporo! Czas zatem na pytanie zasadnicze: od czego wszystko się zaczęło i z jakimi osiągnięciami chór spotyka swój pierwszy jubileusz?

W roku 2004 założycielka, kierownik i dyrygent chóru, Janina Chwalko, urodzona w stolicy Polesia, Pińsku, osoba „pozytywnie zakręcona" na punkcie muzyki i pieśni polskiej, utalentowany pedagog i organizator, zjednoczyła wokół siebie kilkadziesiąt osób i w taki sposób otworzyła historię zespołu. Początek był owocny i niespokojny, różnorodny i dynamiczny...

„Cantus Cordis" to chór amatorski, w skład którego wchodzą osoby tak z wykształceniem muzycznym jak i bez niego, dla których śpiew i muzyka są życiową fascynacją. Wielu z nich to osoby pochodzące z byłych Kresów Wschodnich, tej małej cząsteczki z bogatej skarbonki świata, gdzie przeplatają się i żyją obok siebie kultury Polaków i Białorusinów. Dla nich śpiew jest organiczną częścią ludowej tradycji i życia rodzinnego. Wśród weteranów chóru są Helena Mankiewicz, Lilia Biernowicz, Alina Żołnierowicz, Helena Ejkiewicz, Natalia Chwalko. To właśnie one mają w sobie siłę, która łączy doświadczenie z poważnym stosunkiem wobec tradycji i chęcią rozpowszechniania bogatego dziedzictwa kultury muzycznej Polaków wśród przedstawicieli młodego pokolenia chórzystów.

Repertuar chóru jest bardzo bogaty i różnorodny. W jego skład wchodzą utwory o tematyce religijnej, autorskie i ludowe pieśni w językach: polskim, białoruskim i łacińskim. Symboliczne wizytówki muzyczne zespołu to polonez „Pożegnanie Ojczyzny" M.K. Ogińskiego, śląska pieśń regionalna „Uwoz mamo roz", „Hymn III tysiąclecia" M. Gałęskiego, „Wiązanka polskich piosenek ludowych" i inne, wykonanie których zawsze wywołuje serdeczną i spontaniczną reakcję wśród widzów oraz wzrusza i przyśpiesza rytm bicia ich serc. Bardzo życzliwie odbierane są utwory w wykonaniu solisty chóru, Dmitria Ustinowa, który jednocześnie jest świetnym gitarzystą. Wśród nich są „Ave Maria" F. Schuberta, „Ojcze nasz" (autorem muzyki jest sam wykonawca), „Z Bogiem. Z miłością.



Z przyjaciółmi" (tekst Anatol Hardziej, muzyka Dmitri Ustinow).

Chór stale zapewnia oprawę muzyczną niedzielnych Mszy Świętych, odprawianych w Czerwonym Kościele w języku polskim, oraz regularnie uczestniczy w różnych uroczystościach religijnych odbywających się na Białorusi i w Polsce. Organizuje również duże koncerty z okazji jubileuszy Wielkich Polaków, np. F. Chopina, S. Moniuszki. Preferowany jest repertuar o tematyce sakralnej. Kapłani zaś często powtarzają, że modlitwa odśpiewana ma podwójną moc. Ze szczególnym zamiłowaniem wykonywane są utwory o tematyce maryjnej, m.in. „Przy sercu Twoim", „Czarna Madonna", „Ikona" i in.

W ciągu tych dziesięciu lat chór bardzo często występował na scenach Polski, Białorusi, Czech, Niemiec, Ukrainy i Litwy, tz. wszędzie, gdzie są większe skupiska Polaków. Niejednokrotnie miało miejsce uczestnictwo chóru w Ogólnopolskich Festiwalach Kolęd i Pastorałek, gdzie zdobywał nagrody i wyróżnienia. W roku 2009 wywalczyliśmy I miejsce w Warszawie Wesołej (w mazowieckich eliminacjach tego festiwalu), a na początku 2010 roku dostaliśmy wyróżnienie w Będzinie – już na szczeblu ogólnopolskim. Nie obeszła się bez udziału kolektywu żadna impreza organizowana przez Ambasadę RP czy Instytut Polski w Mińsku.

Chór odnawia tradycyjne imprezy polskie na Białorusi, np. „Kolędy", „Biesiady" i nawet dwukrotnie zorganizował „Majówki Polonijne", w których wzięli udział artyści – amatorzy polskiego pochodzenia z całej Białorusi.

Przez ponad pięć lat chór gościł i aktywnie koncertował na Kujawach: w Nieszawie, Aleksandrowie Kujawskim, Ciechocinku, Toruniu. Działo się to dzięki gościnności władz tych miast i miasteczek. W Nieszawie, między innymi dzięki pomocy i wsparciu gospodarzy, nagraliśmy naszą pierwszą płytę, za co jesteśmy niezmiernie wdzięczni.

Raz na dwa lata grupa chóru uczestniczy w Międzynarodowym Festiwalu i Warsztatach chórów polonijnych w Koszalinie, gdzie zjeżdżają się artyści z całego świata.

Szczególne wzruszenie chórzyści przeżyli w czerwcu bieżącego roku, podczas wyjazdu do Częstochowy i Torunia na pielgrzymkę i festiwal twórczości Ochotniczych Hufców Pracy. Zawdzięczamy to gościnności i serdeczności Komendanta Głównego OHP, pana Mariana Najdychora.

Chór „Cantus Cordis" na pewno nie zaprzestanie swojej działalności, lecz dalej będzie owocnie działać na rzecz polskiej mniejszości narodowej na Białorusi.

Życzmy wszystkim chórzystom dużo zdrowia, pomyślności, zadowolenia z tego, co robią, a Pani Kierownik i Dyrygent Janinie Chwalko – wytrwałości, sukcesów i satysfakcji, oraz realizacji wszystkich twórczych planów i przedsięwzięć.

Anatol HARDZIEJ,
Mikolaj CHMIELNICKI,
Aleksy BRAZGUNOW, Mińsk



FESTYN ODPUSTOWY W DAREWIE

Uroczystość Wniebowzięcia Najświętszej Marii Panny w Darewie jak co roku zgromadziła setki wiernych nie tylko z Darewa , ale także z Baranowicz, Hancewicz, Lachowicz, a nawet oddalonych Mińska i Brześcia Odpust w Darewie – to zawsze wierność tradycjom ojców, to spotkanie wielu rodzin , przybyłych specjalnie do swojej małej ojczyzny w tak ważny dzień, to gromadki dzieci, dla których jest to zawsze radosne niecodzienne przeżycie . Odpust w Darewie – to niepowtarzalna ciepła atmosfera, która przyciąga tu wszystkich, to prawdziwe święto i uczta dla ducha.Uroczystość Wniebowzięcia Najświętszej Marii Panny uświetniły także chór akademicki „Kraj Rodzinny" z Baranowicz oraz darewski zespół folklorystyczny. O Darewie i jego mieszkańcach, o historii parafii i jej wspaniałym kapłanie „Echa Polesia" pisały w Nr1(29)2011 r.
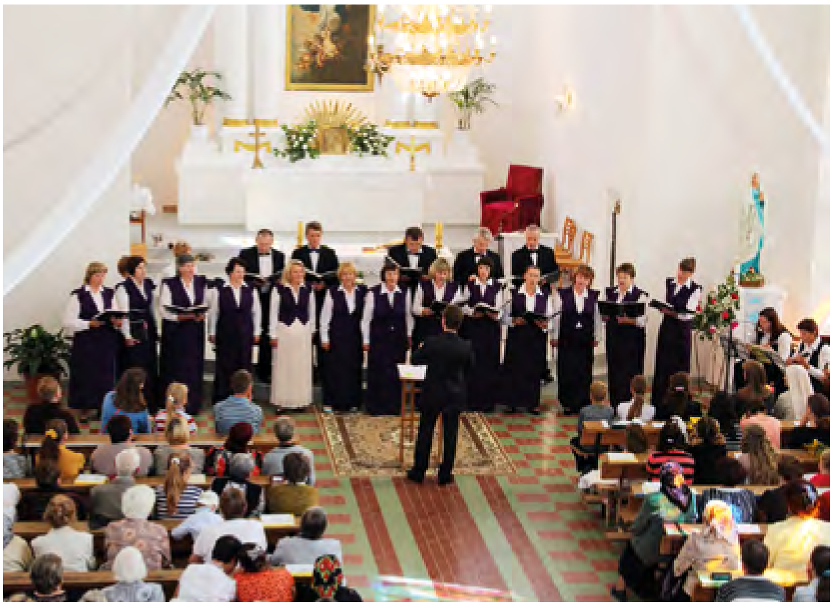
Zapraszamy Drogich Czytelników na stronę o.Jana Glinki SVD www.digi.pl













POLACY Z BRZEŚCIA NA IX JARMARKU JAGIELLOŃSKIM W ŁOMAZACH

46-osobowa delegacja Forum Polskich Inicjatyw Lokalnych Brześcia i Obwodu Brzeskiego uczestniczyła 29 czerwca b.r. w Święcie Rzemiosła Ludowego w Łomazach. Jarmark odbył się pod hasłem Roku Kolberga – wybitnego polskiego etnografa. Do udziału w Jarmarku twórcy ludowi oraz artyści śpiewu ludowego, zgromadzeni przy Forum Polskich Inicjatyw Lokalnych Brześcia i Obwodu Brzeskiego, zostali zaproszeni przez Gminny Ośrodek Kultury w Łomazach. Formuła Jarmarku Jagiellońskiego to doskonała okazja, by pokazać specyfikę regionu oraz to, z czego są dumni mieszkańcy tej części woj. Lubelskiego, jak i sąsiedzi po białoruskiej stronie Bugu. A także by tworzyć przyjazny klimat przygraniczny pomiędzy Polską a Białorusią. Program Jarmarku składał się z koncertów, jazdy konnej oraz prezentacji rzemiosła ludowego. Niezapomniane chwile przeżyła delegacja z Białorusi, gdy została zaproszona na prawdziwą ucztę zorganizowaną w Ośrodku Straży Pożarnej w Łomazach. Śpiewano polskie pieśni, zapowiedziano nowe wspólne imprezy na pograniczu. Każdy uczestnik jarmarku dostał dyplom uczestnictwa w imprezie. Dziękujemy za gościnność oraz doskonałą organizację imprezy Panu Ryszardowi Bieleckiemu – dyrektorowi GOK w Łomazach oraz Cezaremu Nowogrodzkiemu – wielkiemu miłośnikowi Polesia.

Hanna PANISZEWA







PRZEGLĄD PRASY POLSKIEJ I POLONIJNEJ OD ALEKSANDRA SIEMIONOWA

POLSKA I POLACY

W WIELU KRESOWYCH RODZINACH w Polsce ludzie pamiętają skąd oni pochodzą. A tęsknota za Kresami wciąż przenosi się z pokolenia na pokolenie. We Wrocławiu narodziła się akcja „Mogiłę pradziadka ocal od zapomnienia", celem której jest uratowanie polskich cmentarzy na dawnych Kresach Południowo –Wschodnich. Idea polega na udziale w tej szlachetnej sprawie dolnośląskiej młodzieży rodzinnie związanej z Kresami. Każdego lata młodzi Polacy wyruszają na Ukrainę, by porządkować zaniedbałe polskie cmentarze. W 2013 r. padł rekord, gdyż w akcji wzięło udział ponad 500 młodych ludzi. Taka podróż na ziemie gdzie urodzili się ich dziadkowie to podroż po odpowiedź na pytanie: kim jestem? Organizatorzy planują stworzenie internetowej bazy mogił pozostałych pod ich opieką, aby umożliwić Kresowianom sprawdzenie, gdzie spoczywają ich przodkowie.

W 97 KRAJACH ŚWIATA pracuje 2.015 polskich misjonarzy. Najwięcej naszych misjonarzy jest w Afryce – 827 osoby. Warto pamiętać, że podobną pracę, choć formalnie misjonarzami nie będąc, wykonują duchowni pracujący na obszarze byłego ZSRR. Według danych statystycznych w ostatnich latach było ich – kapłanów, zakonników, zakonnic około 1250. Całkiem spora liczba polskich duchownych pracuje w mocno zlaicyzowanych krajach Europy – m.in. w Czechach, Francji czy Niemczech.

W CENTRUM KATOWIC zdemontowany został pomnik Wdzięczności Armii Czerwonej. Był to jeden z pierwszych takich pomników postawionych przez polskich komunistów na terenie Polski po wojnie. Biorąc pod uwagę fakt, że Armia Czerwona oraz jednostki NKWD zaraz po wkroczeniu na teren Śląska wywiozła do niewolniczej pracy w głąb ZSRR kilkadziesiąt tysięcy Ślązaków, z których wielu już nigdy nie wróciło do domu, zakłamana wymowa tego monumentu była szczególnie rażąca. Batalia o jego usunięcie trwała 20 lat. Ale zawsze władze miasta bojąc się niezadowolenia Rosji odwlekali tę sprawę. Pomnik trafi na cmętarz żołnierzy Armii Czerwonej.

ROSYJSKI OLIGARCHA związany z rosyjskim prezydentem – Michaił Fridman, stracił koncesję na poszukiwanie gazu i ropy w Polsce. Decyzja została podjęta ze względów agresywnej polityki Rosji na Ukrainie. Tak naprawdę ani jeden rosyjski biznesmen nie powinien nigdy zostać dopuszczony do udziału w poszukiwaniu strategicznych dla Polski surowców. I nie dlatego, że „Polska nie lubi Rosjan", a dlatego, delikatnie mówiąc,że ich biznes w zdobywaniu surowców w Polsce nie jest w polskim interesie. I nawet jeśli polski rząd reagują zbyt późno, lepiej późno niż wcale.

PANI ELŻBIETA GROCHOLSKA-ZANUSSI oddała swoje rodzinne oszczędności na budowę nowego kościoła we wsi Bochotnica w diecezji lubelskiej. Nie jest to pierwsza i nie ostatnia osoba, która oddaję swoje pieniądze na budowę kościoła. Tylko ciekawy fakt – tych oszczędności Pani Elżbieta miała 1 mln zł (około 300.000 $).Nie starczyło tego na wszystko, ale pani Elżbieta nie uspokaja się i zbiera fundusze dalej. Niech Bóg jej dopomoże.

WARSZAWA JEST NA 8 MIEJSCU najbardziej „urowerowionych" stolic Europy. Jest to dość wysokie miejsce dzięki wprowadzeniu rowerów miejskich. Jak pierwszy raz zobaczyłem na własne oczy parkingi rowerowe, na których stoją rowery, byłem bardzo zdziwiony. Bo każdy chętny może wziąć taki rower i pojechać w każdą część miasta. Jest takich rowerów w polskiej stolicy 2.700 sztuk ustawionych na 170 stacjach. Już w tym roku powstanie 20 nowych stacji po 11 rowerów. Pierwsze 20 minut jazdy takim rowerem nic nie kosztuję, za następne trzeba już płacić. W sezonie letnim jest około 10-15 tysięcy wypożyczeń dziennie. W stolicy jest 320 km sieci rowerowej. Na ukończeniu jest 35-km nowy odcinek. W ślad za stolicą poszły inne polskie miasta, jak Opole (150 takich rowerów), Wrocław (200), Białystok(300), Lublin (400).Oczywiście jak i wszystkie inne mądre idee taka moda przyjdzie i na Białoruś. Tylko jesteśmy jak zawsze opóźnieni. Złe rzeczy dochodzą dużo prędzej, niestety.

150.000 OSÓB UCZESTNICZYŁO w Marszach dla Życia i Rodziny, które w czerwcu odbyły się na ulicach

120 polskich miast. Przypominamy, że w ub. roku taki marsz powinien był się odbyć i w Mińsku.O tym wspólnie zadecydowali zwierzchnicy Kościoła Katolickiego i Kościoła Prawosławnego na Białorusi. Piękna, wspaniała, szlachetna inicjatywa. Ale w ostatniej chwili władze białoruskie czegoś się przestraszyły i zabroniono tego Marszu. Ciekawe, kiedy władza białoruska przestanie się bać swoich ludzi?

WYSTARTOWAŁO NOWE INTERNETOWO RADIO – Radio Profeto.pl, które prowadzi charyzmatyczny sercanin ksiądz Michał Olszewski z zespołem współpracowników. Zapraszamy do słuchania tej radiostacji w internecie. Będzie tylko o Bogu, 100% ewangelizacji. Można zobaczyć i posłuchać tego wspaniałego księdza wpisawszy w wyszukiwarkę słowa „ksiądz Michał Olszewski". Gorąco wszystkim polecam. Może kiedyś i my-katolicy na Białorusi doczekamy się swego katolickiego radia.

W 2013 R. POLSKA WYSŁAŁA NA EKSPORT towary na sumę około 160 miliardów euro, a to 5,8 % więcej niż w 2012 r. Do Niemiec sprzedano towarów na 38 mld euro, do Wielkie Brytanii na 41 mld euro, do Czech na 9 mld euro , do Rosji i Francji na 8 mld euro na każde państwo. Eksportem zajmują się tysiące prywatnych polskich firm ,także małych. Samej żywności Polska sprzedała na więcej niż 4 mld euro. Polska żywność jest chętnie kupowana nie tylko z powodu niskich cen, ale przede wszystkim z powodu bardzo dobrej jakości i oryginalnych receptur. Po tym jak dużo Polaków wyjechało pracować do Anglii za Polakami podążyła i polska żywność. Doszło do tego, że w angielskich marketach całe półki zajmują artykuły żywnościowe z Polski. Kupują ją nie tylko Polacy, ale i Brytyjczycy, którzy zasmakowali w polskiej żywności. Wyjątkowo dynamicznie rośnie sprzedaż polskiej żywności na Litwie. Litwini z chęcią kupują polską żywność, która jest dużo tańsza niż litewska. Za ostatnich 12 lat polski eksport zwiększył się aż czterokrotnie.

CO TRZECI POLAK wywodzi się z dawnych Kresów Rzeczypospolitej. Minęło 25 lat jak Polska odzyskała niepodległość, ale wciąż nie zostało spełnione moralne zobowiązanie wobec Polaków, którzy pozostali po wojnie na Kresach. Fundacja Dla Polonii w ramach akcji Powrót Do Polski zebrała 25.000 petycji do Kancelarii Prezesa Rady Ministrów w sprawie ułatwienia powrotu Polaków z terenów dawnego ZSRR do Macierzy. Organizatorzy kompanii uważają, że potrzebne jest pilne uproszczenie przepisów dotyczących repatriacji i zlikwidowanie barier biurokratycznych. Obecnie cały proces repatriacji trwa około 5-7 lat. Problem stanowi poszukiwanie mieszkań i pracy. Mało gmin otwiera się na przyjęcie repatriantów ze Wschodu. Wygląda na to, że Polska prędzej przyjmie pod swój dach dziesiątki tysięcy Wietnamczyków i Chińczyków, niż Polaków z dawnego Związku Radzieckiego. Polska powinna poduczyć się u Niemców jak trzeba ściągać swoich rodaków do Macierzy .

WYSTARCZY WEJŚĆ NA STRONĘ www.emigracja.chrystusowcy.pl, gdzie każdy Polak, gdzie by on się nie znajdował, znajdzie gdzie odprawia się mszę św. po polsku. Na stronie znajdziemy adresy kościołów, godziny ich otwarcia i częstotliwość odprawiania Mszy. Szacuję się, że około 18 milionów Polaków przebywa poza granicami Polski. W ponad 2.000 Kościołach poza Polską można modlić się po naszemu – po polsku.

DO MATKI BOŻEJ CZĘSTOCHOWSKIEJ po raz pierwszy w historii przybyli przedstawiciele Gwardii Szwajcarskiej. Do Częstochowy przyjechało 50 gwardzistów, którzy odbywają pielgrzymkę śladami świętego Jana Pawła II. Wielu z tych gwardzistów ochraniało naszego papieża i to oni przede wszystkim chcieli zobaczyć na własne oczy ojczyznę swego kochanego papieża.

O TYM TRZEBA WIEDZIEĆ Polakom z Kresów, którzy jeżdżą do Polski. Od początku kwietnia do obiegu są wprowadzone nowe polskie banknoty. Banknoty mają nowe zabezpieczenia na światowym poziomie. Jednym z nich jest sam papier, na którym banknoty są drukowane. Są wyprodukowane z bawełny i są praktycznie nie do podrobienia. Specjalną, utrzymywaną w ścisłej tajemnicy recepturę mają też farby wykorzystywane do druku banknotów. Wykorzystywane też są farby utajnione (widoczne dopiero w świetle ultrafioletowym), czy zmieniające kolor w zależności od kąta patrzenia. Umieszczony na banknocie wizerunek polskiego króla jest wypukły. Można to bez trudu stwierdzić, dotykając banknot w tym miejscu. Patrząc pod światło, zauważymy dwa znaki wodne. Tylko banknot 200 zł na razie nie będzie modernizowany, bo ma wystarczający poziom bezpieczeństwa. Ale uwaga, banknoty, które były w obiegu do tego czasu, będą w użyciu do ich wycofania z powodu uszkodzenia. Po prostu trzeba przyzwyczaić się, że w obiegu będą jak stare, tak i nowe banknoty.

MINĘŁA 50-TA ROCZNICA, jak zginął w walce z polskimi komunistami legendarny polski partyzant Józef Franczak, pseudonim „Lalka". Po sekcji zwłok bohatera jego ciało zostało zbezczeszczone poprzez obcięcie głowy i pochowane w bezimiennym grobie. Dopiero w 1983 r. partyzant spoczął w rodzinnym grobowcu. Był to ostatni partyzant polskiego podziemia niepodległościowego. Uczestniczył on w »»»

»»» wielu akcjach zbrojnych przeciwko komunistycznej władzy. Przez 18 lat (do października 1963 r.) od zakończenia wojny pozostawał w konspiracji, stając się ostatnim żołnierzem niepodległej Rzeczypospolitej, walczącym z bronią w ręku z narzuconym Polsce sowieckim reżimem. No i nareszcie Lublin, jako pierwsze miasto w Polsce ma ulicę bohatera Józefa Franczaka. Mamy nadzieję, że w ślad za Lublinem pójdą i inne polskie miasta. Chwała Bohaterowi!

---

60 LAT TEMU (3.08.1954 r.) do 318 żeńskich klasztorów w 3 województwach PRL (wrocławskim, opolskim i katowickim) wkroczyli ludzie z Urzędu Bezpieczeństwa (polskie KGB). Siostrom ogłoszono, że ich klasztory zostaną zlikwidowane, a one będą wywiezione do nowych ośrodków. Były wypadki niszczenia przedmiotów kultu religijnego i pobicia sióstr zakonnych. Celem tej bolszewickie akcji było rozbicie i zniszczenie całego życia zakonnego w socjalistycznej Polsce. W ciągu tylko jednego dnia zostały wyrzucone z klasztorów 1.300 zakonnice , które zostały umieszczone w innych częściach Polski Ludowej. Zmuszono je do pracy dla socjalistycznej ojczyzny w utworzonych w tym celu klasztornych szwalniach i hafciarniach. Praca trwała po 10 godz. dziennie, mieszkały w ciasnocie, czasami bez elektryczności ,brakowało im opalu i żywności. UB udało się zwerbować tylko 3 siostry i jeszcze 11 sióstr w zamian za uwolnienie zgodziło się opuścić swoje zgromadzenia. Pozostałe, wierne Bogu, doczekały się po 2 latach uwolnienia z obozów pracy i powrotu do swoich klasztorów . I to nie wszystkie klasztory państwo im zwróciło. O tych faktach musimy pamiętać. Bo czasami nam Katolikom na Wschodzie wydaję się, że Sowieci prześladowali tylko nas. A prawda jest taka, że i Katolicy w Polsce za czasów stalinowskich nie mieli łatwego życia.

SPEŁNIŁA SIĘ 150-TA ROCZNICA powstania 1863-1864. Pamiętamy tę datę.Trzech bohaterów powstania znajduje się w panteonie polskich świętych.

Adam Chmielowski po powstaniu wstąpił do zakonu franciszkanów i przyjął imię – brat Albert, założył Zgromadzenie Braci Albertynów. W 1989 r. został kanonizowany przez papieża Jana Pawła II.

Józef Kalinowski, przed powstaniem oficer carskiej armii, stanął na czele powstania na Litwie. Po wyroku śmierci zamienionym na katorgę, po powrocie z niej wstępuje do zakonu karmelitów bosych i staje się bratem Rafałem. W 1991 r. papież Jan Paweł II kanonizuje go.

I trzeci bohater powstania – metropolita warszawski arcybiskup Zygmunt Feliński spędził po powstaniu 20 lat na wygnaniu. Kanonizowany został w 2009r. przez papieża Benedykta XVI, a w 1984 r. rozpoczęły się przygotowania do beatyfikacji czwartego wielkiego dowódcy powstania-Romualda Traugutta. Doczekamy się chwili, gdy i ten wielki Polak zostanie świętym. Pod tym względem jest to powstanie wyjątkowe w historii świata.

Rosyjskie władze zawsze nienawidziły polskich przywódców, ale co ciekawe, darzyły ich jakimś dziwnym, niewytłumaczalnym szacunkiem. To było i jest typowe dla Rosjan. Twardych przeciwników nienawidzą, lecz jednocześnie boją się ich i szanują, a kto przed nimi zgina kark, jest usłużnym i uległym, tym gardzą. O tym musimy pamiętać.

BIAŁORUŚ

NA ZAPROSZENIE proboszcza parafii pw. Św. Rodziny księdza Józefa Hańczyca do Lidy przybył znany afrykański-(Uganda) ksiądz John Bashobora. Ksiądz John przyjechał w asyście naszego biskupa Aleksandra Kaszkiewicza. Czytałem dużo o tym księdzu charyzmatyku , no i myślałem, że zjawi się 1-2 tysięcy ludzi z naszej parafii i trochę z innych. Ale przyszło pod nasz kościół około 12.000 ludzi. Byłem w szoku. A przecież to nie był komunistyczny leninowski czyn społeczny, na który nasz człowiek musi przyjść. Tutaj nie musieli, ale jednak przyszli i stali, pod gorącym słońcem 4 godziny. Tego nikt nie oczekiwał, nawet nasz proboszcz. Było to oczywiście coś niezwykłego i… chwyciło wielu za serce. Długo to trwało , była i adoracja i komunia święta, ale widziałem, że prawie nikt nie chciał się pożegnać .Cały plac przykościelny był zapełniony ludźmi. Chyba to była największa msza w Lidzie(i nie tylko w Lidzie) po wojnie, bo tłum 12.000 ludzi oczywiście robi wrażenie. Wszyscy czekali na błogosławienie księdza Johna . Wstała z wózka kobieta, która nie wstawała na własne nogi latami, a tutaj wstała o własnych siłach. Potem wstał i zrobił kilka kroków, też z wózka, inny inwalida , który nigdy nie chodził. Ciarki poszły po ciałach zgromadzonych. Wielkie to było wydarzenie dla naszej parafii i dla wszystkich katolików w Lidzie. Wiara nie powinna zamykać się w murach kościoła. Trzeba wychodzić z ewangelizacją poza mury kościoła. Oczywiście większość ludzi, biorących udział w takiej mszy na ulicy była otwarta na Chrystusa. Ale było dużo i tak zwanych „świątecznych" katolików. Taka msza zachęca do powrotu ludzi do wiary.

LITWA

WICEMEREM SAMORZĄDU rejonu trockiego została Maria Pucz, prezes oddziału Akcji Wyborczej Polaków na Litwie w rejonie trockim i prezes frakcji AWPL w radzie samorządu rejonu trockim. Za jej mianowaniem na stanowisko wicemera głosowało 16 radnych, przeciwko – 2 radnych.

Maria Pucz jest radną rejonu trockiego od 2003 roku. Przez ponad 20 lat kierowała przedszkolem w Starych Trokach (rejon trocki). Jest członkiem Rady Naczelnej Akcji Wyborczej Polaków na Litwie.

Głosami radnych rejonu trockiego ze stanowiska usunięto również wicedyrektora administracji samorządu rejonu trockiego . Stanowisko to obsadzi też Polka, Karolina Narkiewicz, dotychczas pełniąca obowiązki kierownika wydziału kultury i turystyki samorządu rejonu trockiego.

WŁOCHY – RZYM

OJCIEC ŚWIĘTY FRANCISZEK mianował dotychczasowego sekretarza generalnego Konferencji Episkopatu Polski arcybiskupa Wojciecha Polaka prymasem Polski i metropolitą gnieźnieńskim. Biskup Wojciech Polak ma 49 lat i jest teraz najmłodszym hierarchą pełniącym taka funkcję w Europie. Biskupem został w wieku 39 lat i był najmłodszym biskupem w Kościele katolickim na całym świecie. Może zostanie i najmłodszym kardynałem w Europie? Daj Ty Boże!

Ksiądz Tadeusz Kusy (63L.), franciszkanin, został mianowany biskupem diecezji Kaga-Bandoro w republice środkowoafrykańskiej. A ksiądz Jan Kot (52L.)został mianowany biskupem brazylijskiej diecezji Ze Doca, gdzie mieszka 300.000 katolików. Na jej terenie działa 20 parafii z 25 księżmi. Biskup Jan Kot jest drugim biskupem Polakiem w Brazylii. Przypomnijmy, że papież Franciszek już mianował 12 polskich biskupów, którzy działają poza Polską.

No i jeszcze jedna dobra nowina. Papież Franciszek mianował księdza prałata Wojciecha Załuskiego nuncjuszem apostolskim w Burundi (Afryka).Ojciec Święty wyniósł go także do godności arcybiskupa. Od 1999 r. ks. Wojciech służy w dyplomacji watykańskiej. Pracował m.in. na Ukrainie i w Gruzji.

KANADA

PARAFIA ŚW. MAKSYMILIANA KOLBEGO w kanadyjskim mieście Mississauga niedaleko Toronto jest największą polską parafią w Kanadzie. Liczy 14.000 rodzin. Parafia ta należy do kilku najliczniejszych parafii polonijnych w świecie .Na Wielkanoc w tej parafii pojawia się , na poświęceniu pokarmów wielkanocnych, 40-45 tysięcy Polaków. Kościół pękał w szwach i dlatego Polacy zbudowali w niedalekim Bramptonie (też w okolicach Toronto) nowy kościół, a przy kościele potężny pomnik Jana Pawła II. U proboszcza nowej parafii zrodził się pomysł zbudowania polskiej wioski ,a właściwie polskiego miasteczka wokół kościoła. Dzięki temu jest teraz obok kościoła Centrum Polskiej Kultury, centrum polskiego biznesu, są polskie sklepy, kawiarnia, buro podroży, apteka, wielka sala na przyjęcia. Powstał Dom Seniora. Wyrosło osiedle domów z polskim nazwami ulic. Siostry Misjonarki Chrystusa Króla prowadzą przedszkole. Do tego pięknego kościoła przychodzą i ludzie innych narodowości. Bo tym ludziom bardzo podoba się polska religijność, śpiewy, nabożeństwo.

WIELKA BRYTANIA

PO TYM JAK ANGLIA W 2004 R. OTWORZYŁA SWOJE GRANICE dla Polaków, prawie milion rodaków przyjechało do Anglii. Co roku w Anglii rodzi się więcej niż 20.000 małych Polaków. Oczywiście działają polskie szkoły sobotnie, w których polskie dzieci uczą się swego ojczystego języka, kultury i historii. Niestety do tych szkół uczęszcza tylko około 20 % polskich dzieci. Polska Misja Katolicka działa w Anglii od 1894 r. Pierwszy kościół w Londynie został otwarty w 1930 r. Dzisiaj msze święte po polsku są odprawiane w 208 miejscach. Księży jest 115. Wkrótce przyjedzie 9 kolejnych .Księża angielscy zawsze zapraszają Polaków na swoje msze, ale nawet ktoś z Polaków dobrze zna angielski, to jednak woli modlić się po polsku. Zrozumiały jest żal księży angielskich, którzy mają na Mszy 100 wiernych, a po tej Mszy jest Msza po polsku i jest na niej 500 ludzi. Nowością są parafie polsko-angielskie, czyli polski ksiądz odprawia po polsku dla wspólnoty Polaków i jest zarazem proboszczem normalnej parafii angielskiej. Oczywiście działa sporo grup i wspólnot .Zaobserwowano ciekawe zjawisko, że ci Polacy którzy byli związanymi z jakimiś ruchami katolickimi w Polsce, na emigracji stają się motorem napędowym nowych polskich parafii. W Londynie działa tak samo internetowe Katolickie Radio.

CZECHY

WEDŁUG OSTATNIEGO SPISU LUDNOŚCI w Czechach na Zaolziu mieszka teraz 40.000 Polaków (przed wojną mieszkało 150.000). Nie łatwo jest tam naszym rodakom, bo Czesi zwykle nieprzychylnie patrzyli na polska mniejszość. W stolicy Polaków w Czechach, czeskim Cieszynie, do dnia dzisiejszego polska mniejszość nie ma własnego domu, chociaż mnóstwo polskich nieruchomości zabrały w swoim czasie czeskie władze.

Po wejściu Czech do Unii nie można powiedzieć ,że czeskie władze na siłę czechizują Polaków. Sytuacja się poprawia. Na przykład ustawa szkolna w Czechach jest teraz tak liberalna, że jest nawet bardziej przyjazna mniejszościom narodowym niż w innych krajach Europy. Jeżeli jest gdzieś kilkoro polskich dzieci, to powstaje tam polska szkoła. Na Litwie jest to nie do pomyślenia. O Białorusi lepiej i nie wspominać. Na Zaolziu jest aż 25 polskich szkól. Przypominam, że na Białorusi na 400.000 (wg danych władzy) Polaków są tylko 2 szkoły. Jak nam daleko do Europy.

W miejscowościach, gdzie żyją Polacy, znajdują się szyldy z nazwami miejscowości po czesku i po polsku. Podpisując w 2007 r. Europejską Kartę Języków Mniejszościowych, Republika Czeska zgodziła się na takie dwujęzyczne napisy na szyldach. Polacy na Zaolziu ucieszyli się, kiedy czeska kolej na biletach kolejowych zaczęła pisać nazwy stacji i po czesku i po polsku.

PAWEŁ PROKOPIENI – ZAPOMNIANY ŚPIEWAK Z POLESIA

Tomasz Otocki, Warszawa, 11 sierpnia 2014 r.



Śpiewak Paweł Prokopieni na dziedzińcu Biblioteki Jagiellońskiej // *Fot. ze zbiorów Narodowego Archiwum Cyfrowego*

Przedwojenne Polesie miało swe ikony, wybitnych, zasłużonych Polaków. Ale wciąż – jako region peryferyjny – nie narzekało na ich nadmiar. Warto tu wspomnieć o traktowanej z honorami Marii Rodziewiczównie z Hruszowej, wybitnej pisarce (także działaczce Obozu Zjednoczenia Narodowego). Przedwojenni Polacy na Polesiu odwoływali się także do Kościuszki, Traugutta czy Orzeszkowej. Jak pisała w 1934 roku „Gazeta Poleska" *„Polesie miało kiedyś swoich męczenników-unitów, miało ks. Brzóskę i Kryjaków... Były to czasy caratu... czasy najeźdźcy... Polesie wydało najpiękniejsze wzory obywateli-żołnierzy i ofiarników... To biedne Polesie ma swoją piękną kartę w historii Polski niewolnej i Polski zmartwychwstałej... I dziś znowu z tego Polesia wschodzi gwiazda, która swym blaskiem złoci glorie Nowej Polski. Jest nią dziecko ze wsi Zapole, gminy Różana, powiat kosowski – Paweł Prokopieni*[1]". Kim był ów reklamowany przez „Gazetę Poleską" rodak z północnej części województwa, który sercem ukochał swe rodzinne Polesie? Materiały wydane w PRL praktycznie o nim milczą. „Almanach Scen Polskich" z końca lat siedemdziesiątych wspomina jedynie lakonicznie: *„Paweł Prokopieni, właśc. Prokop, ur. 1910 Zapole na Polesiu – zm. październik 1976 Nowy Jork, śpiewak. Był chórzystą Opery Warszawskiej (...) W 1936 roku wystąpił (obok Kiepury) na Koncercie Wawelskim w Krakowie. W czasie II wojny światowej występował w Rumunii, następnie z Czołówką Karpacką na Bliskim Wschodzie (...) W ostatnich latach występował z recitalami partii basowych i barytonowych*[2]". Jednemu z najbardziej znanych śpiewaków okresu międzywojnia

to zasłużone skądinąd wydawnictwo poświęciło… kilka linijek w „Kronice” osób zmarłych.

Prokopieni (nazywany czasem pieszczotliwie przez przyjaciół „Prokopieszką”) dziś uległ zupełnemu zapomnieniu – pytałem kilku zorientowanych w poleskich sprawach znajomych, mieli trudności z odpowiedzeniem, kim był. Może to ze względu na powojenną emigracyjną przeszłość, może pochodzenie z białoruskich Kresów, z terenów, które skazano po 1945 roku na zapomnienie, może przedwojenne związki z „reżimową” – jak mówiono za PRL – policją?

A przecież przed wojną była to postać o wiele bardziej znana od niektórych polityków, pisarzy czy sportowców. Można było nie wiedzieć, jak nazywa się wojewoda jakiegoś kresowego województwa, ale Prokopieniego znał prawie każdy. By poznać go bliżej, po 37 latach od śmierci, sięgnijmy do kresowej prasy z dwudziestolecia międzywojennego. W maju 1937 roku „Kurier Nowogródzki” poświęcił Pawłowi Prokopieni dłuższy materiał (by opowiedzieć o swych planach śpiewak zaprosił wtedy kresowych dziennikarzy do wileńskiego Sztralla na „pół czarnej”). Wywiadu udzielono z tego powodu, że już za chwilę – 2 czerwca – miał Prokopieni wystąpić w wileńskim lokalu „Mars” z koncertem na rzecz sekcji muzycznej Sportowego Klubu Policyjnego (po koncercie w Wilnie śpiewak planował objazd miast kresowych: Grodna, Białegostoku i Pińska). To już przedwojenna tradycja, że Prokopieni śpiewał dla policjantów. Jak zauważała gazeta w swym specjalnym materiale *„Prokopieni ma swoje porachunki z policją, jednakże w tych wyjątkowych porachunkach obie strony przedstawiają się bardzo dodatnio. Policja, jeśli się kimś zainteresuje, to raczej go zamyka niż wyzwala, a tymczasem Prokopieni może z dumą powiedzieć, że w znacznej mierze policji zawdzięcza wyzwolenie swego talentu*[3]”. Tak: gdyby nie policja, być może ten urodzony w 1910 roku na „kresach kresów”, tam gdzie kończą się poleskie błota, śpiewak zrobiłby najwyżej karierę w maleńkim Kosowie czy Słonimie.

JANKO MUZYKANT SPOD SŁONIMA

„Kurier Nowogródzki” zarysował ciekawie rodzinną historię Prokopieniego. Jego los podobny był do „Janków Muzykantów” z Kresów Wschodnich, choć per saldo o wiele szczęśliwszy. Ale trzeba zacząć od początku. *„W 1923 roku* – w kresowym magazynie ciągnie opowieść sam Prokopieni – *przybyłem z rodzicami do ojczystej wioski Zapole pod Słonimem. Jako 12-letni chłopak uciekłem ze Słonima, gdzie na dworcu kolejowym odnosiłem żydkom walizki z dworca do miasteczka, za opłatą 20 groszy. Często od powroza krwawiły mi ramiona, ale dla zarobku trzeba było znieść ból”* – tak przedstawiało się nieciekawe – a było wiele takich losów na ubogich przedwojennych Kresach[4] – dzieciństwo Prokopieniego. Wcześniej, zanim w 1922 roku rodzina wróciła do Polski, tułali się po postrewolucyjnej Rosji. Już w wolnej Polsce śpiewakowi dopisało szczęście, bowiem zainteresował się nim posterunek policji w odległych parędziesiąt kilometrów od Słonima Baranowiczach – przyszły maestro roznosił policyjną korespondencję. W Baranowiczach zauważył Prokopieniego były legionista – wtedy nadkomisarz policyjny – Weigetner, kolega szkolny Jana Kiepury (młody chłopak ze Słonima zanucił mu „Pierwszą Brygadę”). Po wysłuchaniu pieśni Weigetner powiedział: *„chłopcze, ty będziesz kiedyś wielkim śpiewakiem. Nie jestem, niestety, bogatym mecenasem sztuki, ale chciałbym ci dopomóc”* – relacjonował pod koniec lat trzydziestych „Kurier Nowogródzki”.

Wróćmy jednak do 1924 roku. Kolejnym etapem „chłopaka z Kresów” był Nowogródek, gdzie podjął pracę bufetowego w kasynie policji. Tam śpiewu uczył go *„za kieliszek wódki i serdelka”* (ta „serdelkowa” anegdota przewija się we wszystkich wspomnieniach) – jak sam go Prokopieni nazwał – „wykolejeniec”, były śpiewak, „Mario Alma” (Władysław Kiersnowski). Później przyszły ponownie Baranowicze, gdzie młodzian śpiewał po restauracjach oraz… »»»

[1] „Dziecko Polesia tryumfuje w Wiecznem Mieście”, „Gazeta Poleska”, nr 13 z 25 marca 1934, s. 3.

[2] (red. Edward Csató), „Almanach Sceny Polskiej”, 1977/1978, wyd. 1979, Wydawnictwa Artystyczne i Filmowe, Warszawa, s. 238.

[3] „Paweł Prokopieni po raz drugi. Barwne koleje życia artysty”, „Kurier Nowogródzki”, nr 137 z 20 maja 1937, s. 6.

[4] Jak pisał dr Józef Szelchaur w „Gazecie Poleskiej”: *„może to Zapole i jemu podobne wioski więcej takich talentów u siebie posiadają wśród chłopskich chat… Może pod siermięgą kryją się podobnie wielkie talenty i wspaniałe serca, które później podobnie jak Paweł Prokopieni będą śpiewać „My, Pierwsza Brygada” z Kapitolów stolic, aby głosić chwałę i glorię Tej, która nigdy nie zginęła”*, „Pierwsza Brygada” w Rzymie. Paweł Prokopieni, dziecko Polesia, śpiewa przed mikrofonem świata”, „Gazeta Poleska”, nr 25 z 17 czerwca 1934, s. 3.

»»» wojskowy Brześć nad Bugiem. W stolicy Polesia śpiewającym po restauracjach Prokopienim zaopiekował się pan Grzegorzewski, zaś pan Drabik dał list polecający do kierownika chóru opery warszawskiej. „Gazeta Poleska" z 1934 roku kreśli dramatyczny obraz podróży do miasta nad Muchawcem: Prokopieni *„wyjeżdża więc na gapę z Nowogródka do Brześcia. Trzy razy wyrzucają go z pociągu, ale on pchał się do wagonu i dojechał tam, dokąd zamierzał"*.



WIELKA KARIERA

„Szybka droga Pawła Prokopieni po szczeblach drabiny sławy jest jak gdyby urywkiem z powieści czy wyjątkiem z modnego filmu" – pisał w 1937 roku „Kurier Nowogródzki" w specjalnym materiale. Zanim to jednak nastąpiło chłopak z Kresów musiał zagryźć zęby. Prokopieni, mając 16 lat, w maju 1926 roku przybywa do Warszawy (akurat zmieniała się – w sposób krwawy – władza w stolicy). W operze warszawskiej szybko oświadczono przybyszowi ze Wschodu, że… nie ma głosu. Przychodzi czas włóczęgowania po Warszawie, praca z walizkami czy na Cmentarzu Powązkowskim. *„Zdawało się, że nic już nie wydobędzie mnie z krańcowej nędzy, brudu i wszy"* – wspominał po 11 latach dla kresowej prasy Prokopieni. Los się jednak do chłopaka z Kresów uśmiechnął i zaopiekowali się nim Tadeusz Orda-Zalewski oraz Jerzy Mazaraki (dyrektor Opery Warszawskiej). Dzięki poparciu Jana Kiepury Prokopieni wyjechał później do Wiednia, Rzymu i Mediolanu. W stolicy Włoch studiował u prof. Astollo Pescha, dawał koncerty w rozgłośni włoskiego radia. Jak przypominał „Kurier Nowogródzki" Prokopieni śpiewał tam m.in. – bardzo patriotycznie – „Pierwszą Brygadę", „Mazurka Dąbrowskiego", „Warszawiankę" oraz piłsudczykowskie pieśni legionowe. W 1934 roku zaczyna wreszcie sam zarabiać na życie, a zarobione pieniądze posyłać mieszkającej na Polesiu matce (której zbuduje nowy dom). W wielkiej polityce zakotłowało się jednak – Włochy zajęły Abisynię – więc śpiewak przez Berlin (gdzie też promował go Kiepura) wrócił do Warszawy. Później jeszcze wielokrotnie występował w stolicach Europy. W 1939 roku przez kilka miesięcy odbywał w Bukareszcie studia pod kierownictwem wybitnego reżysera i śpiewaka Zygmunta Zalewskiego – jednego z kierowników opery królewskiej w Rumunii. W Bukareszcie Prokopieni zaśpiewał w ambasadzie polskiej, co sprawiło, że wielu rumuńskich melomanów zainteresowało się Polakiem. Poleszuk dawał później koncerty w lokalnym radio, Domu Polskim, a także wystąpił w popularnej „Sala Dalles[5]".

Na fotografii z lat trzydziestych widzimy Prokopieniego ze staruszką matką… w kresowym, wiejskim stroju Poleszuczki. Jak pisał „Kurier Nowogródzki" matka *„wezwana po raz pierwszy w życiu do radia, by posłuchać rodzonego syna, zapytała ze zdumieniem po białorusku: – To on tak głośno śpiewa w Rzymie, że aż tutaj go słychać?"*. Radio dopiero wkraczało na tereny białoruskie… Matkę Prokopieni bardzo kochał, co przyznają nawet krytycy tacy jak Jan Rydel: *„wzruszał mnie Paweł przywiązaniem do matki. Przed każdym utworem otwierał swój ołtarzyk, gdzie miał chałupę strzechą krytą po lewej stronie, maleńką starowinkę*

[5] Paweł Prokopieni w Bukareszcie", „Gazeta Polska", nr 135 z 16 maja 1939, s. 5.

[6] Jan Rydel, „Wspomnienia", Universitas, Warszawa 1991, s. 184.

w środku i domek, już ładny, po prawej – to dobry syn matce go wybudował. Po trzykrotnym obcałowaniu ołtarzyka szedł na scenę[6]*"*.

Prokopieni był obywatelem świata. Koncerty w Wiedniu, Berlinie, Rzymie, Mediolanie, Bukareszcie. Ale śpiewał po całej Polsce, nie omijał nowobudowanej Gdyni czy starego Lwowa, gdzie występował także w Teatrze Wielkim. Z największą ochotą wracał jednak na Kresy. Ciągnęło go na Polesie. Wydawana w Brześciu nad Bugiem sanacyjna „Gazeta Poleska" często pisze o jego – planowanych, a pewnie i zrealizowanych – koncertach. W połowie 1936 roku donoszono, że będzie śpiewał w Brześciu. 40% dochodu z koncertu miało pójść na cel wskazany przez „Gazetę Poleską"[7]. 17 stycznia 1937 roku ogłaszano koncert mający się odbywać – a jakże – z inicjatywy Rodziny Policyjnej. Prokopieni śpiewał w brzeskim lokalu „Świt" „pieśni z aryj i oper", publiczność zaś „nagrodziła jego śpiew rzęsistymi oklaskami[8]". Po koncercie Prokopieni zabawił parę dni w Brześciu, potem udał się do Warszawy. Czy na Polesiu spotkał się także ze swą białoruską matką?

PAWEŁ OKROPIENI, CZYLI KRYTYKA ŚPIEWAKA

Prokopieni zbierał nie tylko pozytywne recenzje, już na emigracji wiele osób poddawało go krytyce, twierdząc, że zrównywanie tego samorodnego kresowego talentu z Kiepurą jest niepoważne. Jak pisze Jan Rydel: *„rej wodził nasz rodak, bas Paweł Prokopieni, złośliwie nazywany przeze mnie „Okropieni", miałem ku temu powód, i to niejeden. Podczas wojny urządzałem Pawełkowi koncerty w Anglii, reklamując go jako znakomitego artystę. Miał piękny dramatyczny bas, świetnie nadający się do oper, ale był okropnym prostakiem, i w śpiewie, i postępowaniu. Z niesłychanym tupetem potrafił inteligencji polskiej na emigracji wmówić, ż zachwycał się nim sam Szalapin. Prokopieni muzycznie stał na tak niskim poziomie, że mistrz, który nie lubił owijać w bawełnę swoich ostrych uwag na temat muzyki, wylałby go z pierwszej lekcji*[9]". Był Prokopieni bohaterem różnych skandalików obyczajowych. Oddajmy jeszcze głos Rydelowi: *„kiedyś w czasie wojny w Ameryce miał jakąś awanturę. Prawdopodobnie po pijanemu chciał zdjąć pewnej zamożnej damie perły z szyi. Kiedy go zobaczyłem znów w Anglii, powiedziałem mu: – Panie Pawełku, pan zbezcześcił mundur polski, który pan nosi! – Panie Poruczniku, jak ja mógł zbezcześcić mundur, kiedy ja byłem wtedy w kalesonach... To był typowy Pawełek Okropieni. Z wszystkimi był na ty, gen. Andersa prawie że klepał po ramieniu. W ogóle typek nieprzeciętny, w swoim prostactwie sympatyczny, tylko gdzie mu do artyzmu".*

Jan Wojewódka, polski impresario w Chicago, zastanawia się, dlaczego Prokopieni nie wypłynął nigdy na szersze wody. *„Moim zdaniem dlatego, że miał problemy z pamięcią. Nie był w stanie zapamiętać dłuższej frazy (a przy tym wykazywał świetną pamięć do kawałów, znał chyba wszystkie najdowcipniejsze i pysznie je opowiadał* »»»



Paweł Prokopieni jako Mefisto w jednej ze scen filmu (1938 r.) // *Fot. ze zbiorów Narodowego Archiwum Cyfrowego*

[7] „Paweł Prokopieni pisze do Gazety Poleskiej", nr 32 z 30 sierpnia 1936, s. 4.

[8] „Prokopieni w drodze do Włoch odwiedzi jeszcze Brześć", „Gazeta Poleska", nr 3 z 17 stycznia 1937, s. 5. „Koncert Prokopieniego", „Gazeta Poleska", nr 4 z 24 stycznia 1937, s. 7.

[9] Jan Rydel, „Wspomnienia", s. 184.

»»» *z tym swoim akcentem kresowym). Z trudem przychodziło mu uczenie się piosenek, o ariach nie mówiąc. Partii operowych nauczył się jeszcze we Włoszech, ale tak naprawdę dobrze przyswoił sobie pamięciowo partię Borysa Godunowa, „Simone Boccanegra" Verdiego i coś tam jeszcze z Verdiego. Właściwie z każdej popularniejszej arii coś tam zapamiętał, lecz żadnej od początku do końca[10]"*. Jan Wojewódka wylicza oskarżenia emigracji wobec Prokopieniego: mitomania (miał chwalić się zdjęciem z papieżem Piusem XII, które było... fotomontażem), pożyczanie pieniędzy „na święty nigdy", skłonność do wystawnego życia na czyjś koszt, obwieszanie się medalami. A jednak, jak zauważa Wojewódka: *„Prokopieni blagierem nie był, nie miał w sobie nic z hochsztaplera. Był prostolinijnym dobrodusznym człowiekiem, Poleszukiem z sercem na dłoni".* Był religijny, w klapie nosił miniaturki z podobizną Matki Boskiej Częstochowskiej i Ostrobramskiej. Niestety nie udało mi się ustalić, kiedy wybitny śpiewak przeszedł z prawosławia na katolicyzm.

LEWONICHA W NOWOGRÓDKU

Paweł Prokopieni upodobał sobie nie tylko stolice państw Europy Zachodniej i Środkowej – bardzo często bywał gościem „białoruskich" miast kresowych, by wymienić choćby Słonim. Jak pisała w 1937 roku gazeta „Kurier Nowogródzki" 3 kwietnia słynny śpiewak wystąpił w sali Domu Ludowego. Z okazji występu jeszcze raz napisano, co łączyło Prokopieniego ze Słonimem: „specjalne więzi przyjaźni". Tu bowiem *„otrzymał pierwsze bodźce do nauki śpiewu, tu był wychowankiem sfer inteligenckich, szczególnie rodzin policyjnych i tu też znalazła opiekę jego matka – staruszka, mieszkająca obecnie pod Różaną – powiat Kosów Poleski".* Jak informowała gazeta dochód z imprezy przeznaczono na Rodzinę Policyjną[11]. Prokopieni bywał także gościem w bardziej wielkomiejskim Wilnie – w maju 1937 r. śpiewał w Sali Miejskiej przy ul. Ostrobramskiej (dochód z koncertu przeznaczono na Ligę Morską i Kolonialną), a na jesieni 1937 roku w Sali „Mars" razem z chórem Siemionowa[12]. Bywał także nasz wybitny śpiewak kresowy w Nowogródku. Wspomina o tym bohater książki Jarosława Abramowa-Newerlego: *„już jako gwiazdor Prokopieni przyjechał na występy do rodzinnego Nowogródka. Koncertował w sali naszego kina. Wybrałem się na ten występ ze starszymi koleżankami z gimnazjum – Ireną Gockowną i Daszą Tupikówną, tymi samymi, które na „Dziewczętach z Nowolipek" zasłaniały mnie pod krzesłem przed okiem profesora Łozińskiego. Było to chyba w tej samej przedmaturalnej klasie. Ale na ten koncert dyrektor Poźniak udzielił naszej klasie zezwolenia. Obie moje sympatie były Białorusinkami (studiowały potem na Uniwersytecie Wileńskim) i ze szczególną dumą przyjmowały występ swego sławnego rodaka. Gdy Prokopieni zaśpiewał po białorusku ludową pieśń „Lewonicha" owacjom i brawom nie było końca. Do dziś pamię*tam jej słowa: „Lewonichu pali*ubił, czerwonyje buciczki kupił![13]".* Choć słynny Poleszuk śpiewał po białorusku (nigdy



Fotografia portretowa w płaszczu i kapeluszu (Ilustrowany Kuryer Codzienny) // *Fot. ze zbiorów Narodowego Archiwum Cyfrowego*

[10] Jan Wojewódka, „Ja, Janko Ryzykant, czyli wspomnienia chicagowskiego impresaria", Krajowa Agencja Wydawnicza, Warszawa 1988, s. 63.

[11] „Paweł Prokopieni w Słonimie", „Kurier Nowogródzki", nr 88 z 1 kwietnia 1937, s. 8

[12] „Chór Siemionowa z udziałem Pawła Prokopieni w Wilnie", „Kurier Wileński (Wileńsko-Nowogródzki, Grodzieński, Poleski i Wołyński), nr 294 z 25 października 1937, s. 4.

się tego nie wstydził), dziś na Białorusi nikt nie kojarzy jego nazwiska.

W CZASIE WOJNY I PO WOJNIE

Agresja niemiecko-sowiecka na Polskę we wrześniu 1939 roku przerwała burzliwą karierę Prokopieniego w kraju. W chwili wybuchu działań wojennych przebywał w Rumunii, jednak szybko dotarł do kraju i zgłosił się na ochotnika do Wojska Polskiego. Po upadku II Rzeczypospolitej znalazł się we Lwowie. W 1941 roku, gdy wybucha konflikt między dwoma zaborcami Polski, Prokopieni przedostaje się na Wschód, gdzie w Kujbyszewie wstępuje do II Korpusu Armii Generała Andersa. Zostaje żołnierzem Samodzielnej Brygady Strzelców Karpackich, bierze udział w walkach o Tobruk i Monte Cassino. Bez wahania – by pobudzać ducha patriotycznego – dawał koncerty dla polskich żołnierzy, śpiewał w tak egzotycznych krajach (o których nawet przed wojną mu się nie śniło) jak Liban, Persja czy Palestyna. Wykonywał pieśni, które szybko zdobyły popularność na emigracji i w kraju (po 1945 roku zakazane przez komunistów): „Czerwone maki na Monte Cassino", „Boże, coś Polskę" oraz „Karpacka Brygada".

1945 rok przynosi zakończenie działań wojennych, ale także nowy układ geopolityczny: Polska zostaje zwasalizowana przez Związek Sowiecki, Polesie zaś – z okręgiem Kosów Poleski, gdzie mieszkała matka – włączone w skład Białoruskiej Republiki Rad. Prokopieni decyduje się nie wracać do kraju: ze względu na działalność emigracyjną dla Polski wolnej, a nie sowieckiej, nie czekałyby go tam zaszczyty. Co się dzieje z „Pawełkiem z Polesia" na emigracji? Zamieszkuje w Stanach Zjednoczonych Ameryki, występuje tam oraz w innych krajach: Francji czy Ameryce Południowej. Jego nowi sceniczni partnerzy to: Beniamin Gigli, Tito Schipa, Fiodor Szalapin, Jerzy Czaplicki. Prokopieni, który łączył w sobie polski patriotyzm z duszą człowieka ze Wschodu, śpiewał i dla polskiej, i dla rosyjskiej „białej" emigracji.



Fotografia portretowa (Ilustrowany Kuryer Codzienny, 1936) // *Fot. ze zbiorów Narodowego Archiwum Cyfrowego*

Dla tej ostatniej miał w repertuarze „Wołga, Wołga", „Moskiewskie noce", „Ciemna noc" oraz „Oczy ciornyje". Prokopieni już zresztą w latach trzydziestych, także w Rzymie, śpiewał pieśni rosyjskie – to naturalne dla człowieka z Kresów. W II Rzeczypospolitej nagrał nawet specjalną płytę po rosyjsku. Już na emigracji, po występie w tytułowej partii opery „Borys Godunow" w połowie lat pięćdziesiątych „New York Times" napisał o Prokopienim, że „artysta ten zasługuje na porównanie z Szalapinem[14]".

Paweł Prokopieni zmarł w nocy z 9 na 10 października 1976 roku w Nowym Jorku. Jest pochowany na cmentarzu w Doylestown w stanie Pensylwania. Wolna Polska nie przypomniała sobie po 1989 roku o śpiewaku – inaczej niż o Kiepurze, którego zrehabilitowano jeszcze w okresie PRL. Jest jednak zadaniem Polaków z Polesia pamiętać o swym wybitnym rodaku z Zapola.

Artykuł powstał przy pomocy Narodowego Archiwum Cyfrowego w Warszawie, które udostępniło nam przedwojenne zdjęcia śpiewaka. Składamy podziękowania dyrekcji NAC". www.nac.gov.pl.

[13] Jarosław Abramow-Newerly, „Kładka przez Atlantyk. Z albumu Tadeusza Gonsika", Wydawnictwo Dolnośląskie, Wrocław 1995, s. 72.

[14] Jan Wojewódka, „Ja, Janko Ryzykant..." , s. 63.

GNIAZDA NIEMCEWICZÓW

Bohdan Nielubowicz


Skoki – pałac Niemcewiczów
Lit. wg rysunku Napoleona Ordy.

Protoplastą rodu Niemcewiczów miał być żyjący w drugiej połowie XV (1476 (?)) ziemianin wiłkomirski z ziemi wileńskiej. Jego praprawnuk Samuel Kazimierz, stolnik wiłkomirski, komisarz J.K.M.(1600 (?)), żonaty z Aleksandrą Dziłowiecką, opuścił Wileńszczyznę i przeniósł się do ziemi brzeskiej, gdzie jego potomkowie doszli szybko do majątków i znaczenia.

Aleksander, dziad Juliana Ursyn Niemcewicza, pisarza i publicysty, zamieszkał w Klenikach pod Brześciem Litewskim. Wiele szczegółów o tej siedzibie znajdujemy w „Pamiętnikach czasów moich" Juliana. Natomiast z kolei ojciec naszego pamiętnikarza był posiadaczem majątku Skoki oraz podobnie jak dziadek, nadbużańskich folwarków, a w tym i Klenik.

Marceli był podczaszym mielnickim i należał do wybitnie oświeconej szlachty. Posiadał szerokie zainteresowania historyczne, polityczne i był żywo zainteresowany wewnętrznymi wydarzeniami krajowymi. Brał udział w Sejmie Elekcyjnym, na którym został wybrany na króla jego krajan z pobliskiego Wołczyna, Stanisław August Poniatowski. Marceli był żonaty z Jadwigą z Suchodolskich, która urodziła mu aż 11-cioro dzieci.

DWÓR W KLENIKACH

Według relacji Juliana Niemcewicza była to budowla drewniana, modrzewiowa. Z ganku wchodziło się do obszernej, otynkowanej na biało sieni, a całą jej ozdobą były przylepione do sufitu gniazda jaskółcze.

Z sieni na lewo przechodziło się do wielkiej sali jadalnej. Przylegały do niej (w formie alkierzy) dwa pokoje gościnne.

Na prawo prowadziły drzwi do dużej komnaty o ścianach obitych płótnem zdobnym we wzór kwiatowy. W tym to pomieszczeniu stały krzesła kryte kurdybanem z wyciśniętymi pozłacanymi papugami, dziobiącymi winogrona.

Na ścianach rozwieszono portrety króla Jana III Sobieskiego i jego małżonki Marysieńki oraz podobiznę pradziada Juliana – Kazimierza Niemcewicza, gdy klęczy przed krucyfiksem (na plecach miał zarzuconą karmazynową delię).

W sąsiednim, również wielkim pomieszczeniu, stał masywny zegar. Zdobiły go malowidła przedstawiające dziewczynę grającą na szpinecie i młodzieńca z fletem przy ustach.

Do pokoju z zegarem przylegała sypialnia dziadka. Ustawiono tam skromne, wąskie łóżko, pokryte karmazynową kołdrą. Nad łóżkiem wisiał obraz Matki Boskiej Częstochowskiej oraz szabla,

pancerz i hełm dziadka – pamiątki służby u króla Jana III. O poziomie intelektualnym ówczesnej szlachty polskiej może świadczyć podręczna biblioteczka: były tam np. „Żywoty Świętych Pańskich", „Kazania" Skargi, dzieła Tacyta i Horacego, kroniki Miechowity i Bielskiego, dzieła Kochanowskiego, „Zbiór kolęd i pieśni pobożnych" oraz „Księga kucharska".

NARODZINY – NIE W PAŁACU

Za siedzibę rodową Niemcewiczów uważa się pałac, położony milę na północ od Brześcia. Tu w Skokach w 1758 roku urodził się Julian Ursyn Niemcewicz. Jednak nie pałac był miejscem przyjścia na świat tego wielkiego Polaka, ale stojący tu uprzednio i wybudowany prawdopodobnie w XVII w. staropolski dwór modrzewiowy, z tradycyjnym staropolskim gankiem. W sieni nie było już gniazd jaskółczych, a na ścianach wisiały wieńce ze zboża, przeplatane kaliną i bławatkami. Na lewo przylegała do sieni duża komnata o ciemnym obiciu i jak to wspomina pamiętnikarz o nieokreślonym przeznaczeniu. Na ścianach wisiały kopie obrazów pędzla Carlo Dolci, przedstawiające Pana Jezusa i Matkę Boską. Pamiętnikarz dodaje, że w pomieszczeniu tym był jeszcze stolik z drzewa orzechowego i parę stołków. Obok znajdował się pokój sypialny rodziców a dalej pokój dziecięcy. Z izby sypialnej rodziców przechodziło się również do salonu, gdzie wykorzystano przywiezione z Klenik obicia ścian i krzesła pokryte kurdybanem z papugami. W salonie było również wielkie zwierciadło i kilka stolików. Z salonu przechodziło się do małej sionki, gdzie z lewej strony było wejście do apteczki, pełnej: „wódek, kordiałów, tłuczeńców, pierników, ajerów, konfitur …", po prawej natomiast znajdował się pokój pana domu i kilka innych, dobudowanych później dla synów. Po tej samej stronie sionki znajdował się jeszcze pokój z alkierzem dla gości.

Z biegiem czasu dwór modrzewiowy okazał się zbyt ciasny a warunki finansowe ojca Marcelego na tyle dobre, że kazał on zburzyć dwór modrzewiowy i w tym miejscu parku wzniósł ok. 1770 r. nową rezydencję rodową: budynek murowany, jednopiętrowy, z przylegającymi po bokach, cofniętymi wieżami. Wśród specjalistów zdania są podzielone, co do tego, czy budowlę od początku pokrywał łamany dach polski.



Pałac Ursyn Niemcewiczów w Skokach przed 1939 r. // Fot. J. Kłos

Jednak synowie, a bracia naszego pamiętnikarza, byli bardzo przywiązani do dawnego dworu i jeden z nich nawet miał posadzić, w miejscu, gdzie stał dawny dom, dwa orzechy.

Jak pisze R.Aftanazy, obecnie nie ma możliwości, aby stwierdzić, że „nowy pałac wybudowany przez nieznanego architekta w siedemdziesiątych latach XVIII w. miał taką samą postać, w jakiej przetrwał do 1939 roku.

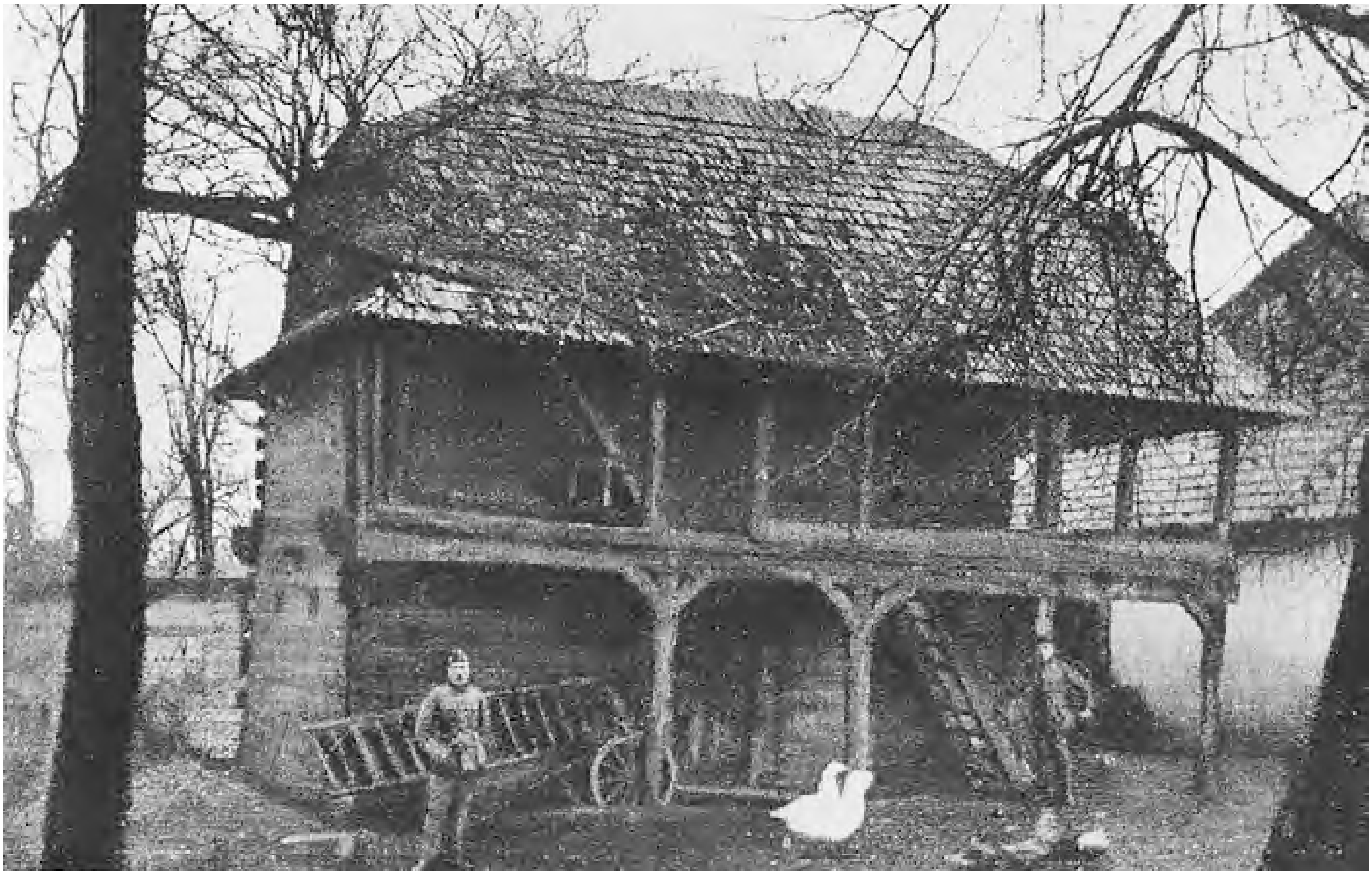
Od frontu i strony ogrodowej budowla miała identyczne portyki na dwóch czterograniastych filarach. Wyżej wzniesiono przestronne balkony. Pomieszczenia parterowe służyły celom mieszkalnym, a na piętrze, jak w pałacach barokowo-rokokowych, znajdowały się pomieszczenia reprezentacyjne (potraktowane jako piano mobile) z wyższymi oknami niż na parterze. Tu znajdowała się również wielka sala balowa z balkonem dla orkiestry.

Pałac położony był w sześciohektarowym parku w wielkim zakolu rzeki Leśna.

Wśród zabudowań gospodarczych wyróżniał się stary lamus dworski o podwójnych podcieniach wspartych na słupach. Dolny ich rząd ozdabiały skośne „zastrzały".

POPOWSTANIOWE REPRESJE

Za udział w powstaniu listopadowym Karola Niemcewicza »»»



Skoki – stary lamus dworski, widoczni żołnierze niemieccy -chyba 1915 r. // Fot. J .Kłos

(bratanka Juliana) Skoki i inne majątki, należące do rodziny, skonfiskował rząd carski. Dzięki usilnym zabiegom w Petersburgu udało się jednakże rewindykować majątek dla Tadeusza – drugiego bratanka Juliana. Należącej do Karola części majątku (głównie lasów) nie zdołano odzyskać – tym bardziej, że udał się na emigrację do Paryża, gdzie prowadził działalność polityczną przeciw caratowi.

Syn Tadeusza, Jan, był zapalonym koniarzem i ponoć również niezłym hazardzistą. Z ramienia carskiego rządu wyjeżdżał corocznie do Anglii, by kupić konie rasy angielskiej dla dworu petersburskiego. Jego syn (również Jan) odziedziczył zamiłowanie do koni, ale miał na szczęście wstręt do hazardu. Prowadził w Skokach dużą stadninę, zaniedbując resztę gospodarstwa. Umierając pozostawił synowi, już trzeciemu, Janowi jedynie pałac w Skokach z 400 ha ziemi.

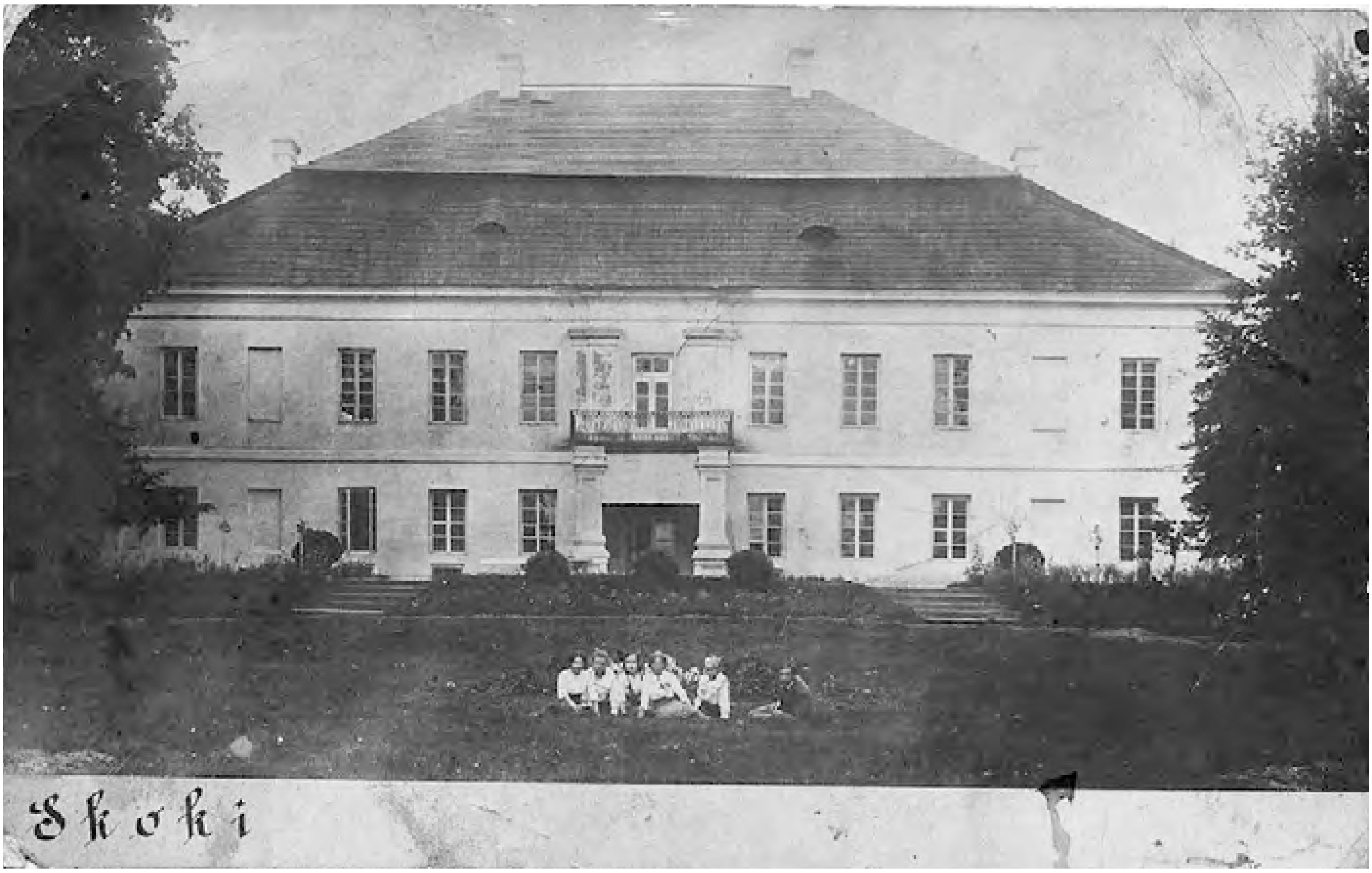
ARCHIWA, BIBLIOTEKA, PAMIĄTKI

Po 1795 r. Niemcewicze przechowywali w Skokach dawne akta sądów kapturowych i archiwum hipoteczne ziemi brzeskiej. W zbiorach znajdowały się, gromadzone od niepamiętnych czasów, oryginały nadań królewskich jak i inne cenne papiery. Historyk A. Krausher, który przeglądał przed I wojną światową rzeczy zgromadzone w Skokach, zobaczył jeszcze pamiątki po Julianie Niemcewiczu. Były wśród nich liczne rękopisy – m. in. Waszyngtona, La Fayette'a, Livingstone'a, Talleyranda i wielu innych współczesnych Julianowi polityków i mężów stanu. Z pamiątek osobistych w Skokach znajdował się portret Juliana oraz portret jego ojca Marcelego a także matki Marii z Suchodolskich, zbiór tabakier oferowanych Julianowi Niemcewiczowi przez Pawła I, Napoleona, Waszyngtona i innych. W gabinecie rycin przechowywano oryginały rysunków i szkiców van Dycka i Leonarda da Vinci. Nadto w pałacu znajdowała się duża galeria obrazów.

Po wybudowaniu w 1831 r. twierdzy brzeskiej, a więc po zburzeniu starodawnego miasta i zamienienia większości zabytkowych budowli (głównie klasztorów i kościołów) na pomieszczenia forteczne, carski rząd zmusił Niemcewiczów do odstąpienia państwu większości gruntów przynależnych do Skoków.

WOJENNA KATASTROFA

Z chwilą wybuchu I wojny światowej rosyjskie władze wojskowe nakazały Janowi Niemcewiczowi ewakuację pałacu. Zdesperowany właściciel wywiózł archiwum, bibliotekę i obrazy w głąb Rosji i umieścił je w stodole znajomego generała rosyjskiego w okolicy Kaługi, a sam ulokował się w Moskwie. Tymczasem armia niemiecka



Skoki – wygląd frontonu pałacu Niemcewiczów z końca XIX w Fot. Archiwum rodzinne.

zdobyła twierdzę brzeską, a w opuszczonych Skokach urządziła kwaterę główną dla dowodzącego tym odcinkiem frontu króla bawarskiego Leopolda. To jego armia, po zajęciu bez walki Warszawy, parła na wschód w kierunku białoruskim. Podczas zakładania instalacji elektrycznej w pałacu i przebijania murów na parterze budowli Niemcy natrafili na zamurowany, okuty żelazem kufer (zupełnie nieznany współczesnym Niemcewiczom). Co w nim znaleźli – nie wiadomo, gdyż pozostawili jedynie pustą skrzynię.

Los ewakuowanego pod Kaługę archiwum okazał się tragiczny. Próba ratowania cennych dla kultury narodowej dokumentów – podjęta w 1917 r. przez prof. Morelowskiego z polecenia zawiązanego w Moskwie Towarzystwa Opieki nad Zabytkami Polskimi w Rosji – okazała się bezskuteczna.

Wybuchła krwawa zawierucha rewolucji bolszewickiej. Złożone w stodole cenne zbiory padły ofiarą miejscowego ciemnego chłopstwa. Rwano skórzane oprawy ksiąg na łapcie i buty, a z dokumentów układano ścieżki w głębokim błocie. Bezpowrotnie przepadły również dzieła sztuki, zgromadzone w moskiewskim mieszkaniu Jana Niemcewicza – między innymi obraz Jana Matejki „Wjazd Bolesława Chrobrego do Kijowa". Piszę o tym w moich wspomnieniach o Andrzeju Ursyn Niemcewiczu.

Z zachowanych po nim papierów wynika, że przynajmniej część rękopisów i pamiątek po Julianie Niemcewiczu przywiozła po rewolucji z Rosji do kraju przełożona jednego z klasztorów o nazwisku Dunin.

JESZCZE RAZ NIESZCZĘŚCIE

W okresie międzywojennym właścicielem Skoków był Stanisław Niemcewicz, przyjaciel mojego ojca. Szczególnie miłe i serdeczne stosunki łączyły żonę Stanisława Janinę z moją matką (patrz moje wspomnienia „Szczenięce lata").

Z końcem lat dwudziestych pałac podpalił żebrak, któremu odmówiono obiadu. Spłonął dach pałacu. Odbudową zajął się mój ojciec – z zawodu inżynier architekt i budowlany.

W roku 1932 Niemcewicze przenieśli się do południowej Francji, gdzie kupili resztówkę majątku koło Tuluzy.

Przed II wojną światową mój rówieśnik Eligiusz (Jerzy Samuel), syn Stanisława, został przysłany przez ojca do Polski, gdzie chodził do gimnazjum w Warszawie. Uczestniczył w powstaniu warszawskim, z którego wyszedł z niedowładem nogi. Wyjechał zaraz po wojnie do Francji, gdzie ukończył studia prawnicze. Żona Stanisława Janina popadła w depresję psychiczną. Urwała się z nią wszelka korespondencja, zmarła w 1958 r. Stanisław zmarł w 1979 r. Podobno pozostawił ciekawe pamiętniki, przechowywane w rodzinnym archiwum we Francji.

Urszula Adamska

DWAJ PRZYJACIELE NA SYBERII



Irkuck w XIX wieku // Źródło: en.wikipedia.org/wiki/Irkutsk#mediaviewer/File:Irkutsk_1865.jpg

Gdzie Bajkał od morza gór sięga
Przez śniegi, wichurę i noc
Wędruje zgarbiony włóczęga
Dźwigając przeklęty swój los…
Marta Bellan

Potomkowie zesłańców uświadamiają sobie dosyć dobrze przyczyny z jakich Polacy znaleźli się od ponad pięciu wieków w rejonie Syberii i Kamczatki. Powszechnie wiadomo, że nie był to ich dobrowolny wybór, zaś po utracie narodowej autonomii w 1795 roku, po trzecim rozbiorze; egzekucje, konfiskaty majątków i zsyłki na Sybir stały się dla zaborcy rosyjskiego niemal codziennością. W ten sposób tułaczy los połączył uczestników powstania styczniowego Benedykta Dybowskiego i Józefa Łagowskiego. Benedykt Dybowski pochodził z Sielawicz nad rzeką Uszą w powiecie mińskim, z majątku Adamaryn. Józef Łagowski – lekarz, botanik i chemik, uczestnik powstania styczniowego, z Żytomierza na Wołyniu. W 1864 roku został zesłany do Ussoli, na sześć lat pracy przymusowej, w warzelni soli. Tam zasłynął jako znakomity chirurg, dzięki czemu pozwolono mu przenieść się w okolice Irkucka. Nad brzegami jeziora Bajkał postarał się o dom, jednego ze swoich pacjentów, kupca z Kułtuka, Pernikina, któremu w zamian zapłacił 15 rubli rocznie, co stanowiło bardzo niską cenę wynajmu na tamtych terenach. Dzięki dalszym staraniom Łagowskiego, jak wspomina Dybowski w jego pamiętnikach, uzyskał dla współtowarzyszy, w 1868 roku, w grudniu, złagodzenie katorgi. Odtąd dwaj lekarze mogli zająć się badaniami przyrodniczymi, co stanowiło dla nich swoistą ucieczkę i zapomnienie o zsyłce. Pracami kierował Benedykt, który w konsekwencji został uznany za odkrywcę Bajkału, a pomagał w tym przedsięwzięciu syn Józefa Łagowskiego wyjątkowo zdolny, młody adept – botanik. Jak doszło do spotkania Józefa z Benedyktem? Dlaczego akurat tam na Zabajkale połączyła ich przyjaźń na śmierć i życie?

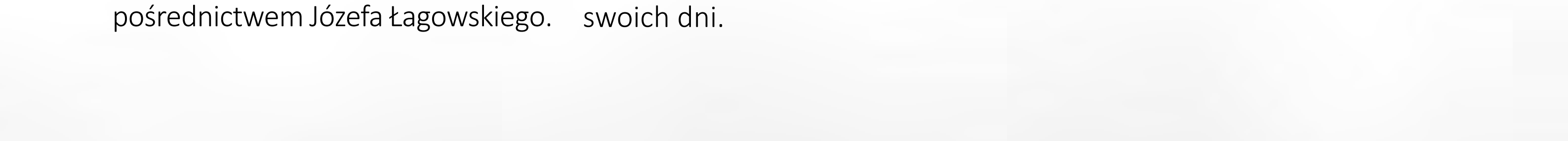
Syberia, Bajkał, Kamczatka, Angarsk, Irkuck – po roku 1863 przybyło ponad siedemdziesiąt tysięcy Polaków. Większość z nich w kajdanach, na wieczną tułaczkę, zesłanych z jednego powodu: w zamian za chęć uratowania, wytartej z mapy

Ojczyzny. Benedykt Dybowski pisał: „Już po wybuchu powstania w Królestwie, dostałem polecenie sprawdzić osobiście w jakim stanie znajdują się przygotowania do nastąpić mającej ruchawki na Rusi [...] Wyjechałem „szteinkielerką" do Lublina, a stamtąd pocztą do Żytomierza". Później autor przytacza opis błotnistej drogi i „prześladowania" w hotelu faktorami żydowskimi, z czego wyniósł przekonanie o niemoralności w tym mieście. Pierwszą wizytę w Lublinie złożył Józefowi Łagowskiemu. Dybowski ułatwił mu tzw.: „konferencję" z pułkownikiem Edmundem Różyckim (późniejszym dowódcą oddziału powstańczego w powiecie żytomierskim) ukrywającemu się przed policją, bardzo oddanemu sprawie narodowej. Doszło wówczas do spotkania w bardzo tajemniczych okolicznościach na przedmieściach Lublina, gdzie przekazano w sekretnym miejscu, dokumenty dotyczące akcji powstańczej, na które miał odpowiedzieć w drodze powrotnej do Kijowa, władzom powstańczym, za pośrednictwem Józefa Łagowskiego. Ten incydent w życiu obu towarzyszy można uznać za początek przyjaźni. Później drogi ich się rozchodzą, Józef włącza się w powstanie styczniowe, jako lekarz powstańców przy boku Wacława Lasockiego. Ten ostatni tak wspomina jedną z akcji, w której Józef uniknął początkowo pojmania w drodze do oznaczonych wcześniej przez dowództwo punktów zbornych: „ Józef jako stary partyzant kaukaski, nie stracił przytomności, a że przez przezorność ubrał się w czapkę z gwiazdką i miał na piersi parę orderów, zaczął udawać władzę i rozporządzać się". Niedługo jednak potem, niestety, został zatrzymany, a komisja śledcza zaliczyła go do pierwszej kategorii przestępców politycznych, co skutkowało oczywiście wywózką na Sybir. Tam też spotkał się z Benedyktem Dybowskim, zesłanym po procesie Romualda Traugutta.

Ze zsyłki powrócił tylko Benedykt, przyjaciel Józef poniósł śmierć na Syberii. Dybowski współtowarzysza niedoli nie zapomniał do końca swoich dni.



Benedykt Dybowski // *Źródło obrazu: muzeum-niepodleglosci.pl*



Jezioro Bajkał // Źródło: pl.wikipedia.org/wiki/Przybajkale#mediaviewer/Plik:26_swiatoinos.jpg

HISTORIA NA STARYCH FOTOGRAFIACH. BARANOWICKI ODDZIAŁ P.C.K.

Dzmitr Zagacki

Miejski oddział Polskiego Czerwonego Krzyża (P.C.K.) został utworzony w Baranowiczach 25 listopada 1930 r. Inicjatorem i założycielem oddziału był major doktor Andrzej Wężyk. W 1937 r., według danych "Chrześcijańskiego kalendarza-przewodnika baranowickiego", prezesem oddziału był dowódca rozkwaterowanego w Baranowiczach 78 pułku piechoty płk. Alfred Schmidt.

Zarząd oddziału składał się z 20 osób, wybierany na trzy lata przez walne zgromadzenie członków.

Głównym celem oddziału było przygotowanie na wypadek wojny i w razie innych nadzwyczajnych potrzeb odpowiedniej ilości



Członkowie Baranowickiego oddziału P.C.K. *(ze zbiorów J. Neumann)*

wyszkolenogo personelu fachowego. Baranowicki oddział P.C.K. już od 1931 r. urządził szereg kursów sanitarnych: dla sióstr pogotowia sanitarnego, dla instruktorów i członków drużyn ratowniczych.

Na szkolenia dla uczestników drużyn ratowniczych przyjmowano wszystkich chętnych w wieku do 50 lat, umiejących czytać i pisać po polsku. Co dotyczy szkoleń dla sióstr sanitarnych i instruktorów Czerwonego Krzyża, to wymaganiem wobec kandydatów było ukończenie przynajmniej szkoły podstawowej. Kursy te dawały możliwość lepiej dowiedzieć się, jak należy się zachowywać w przypadku różnych nieprzewidzianych sytuacji, a także złego samopoczucia lub choroby.

Do 1937 r. przez baranowicki oddział Polskiego Czerwonego Krzyża przygotowano 17 sióstr sanitarnych, 24 instruktorów II klasy i 162 osoby dla drużyn ratowniczych, z których zostało później zorganizowano cztery męskie i dwie kobiece drużyny. Na wypadek sytuacji nadzwyczajnych pracownicy zebrali środki dla stworzenia szpitali polowych i nabywali leki.

Mimo werbowania nowych członków baranowicki oddział P.C.K. prowadził cały szereg pogadanek i odczytów informujących społeczeństwo o zadaniach i pracach P.C.K., a także kursów z ratownictwa. Oddział objął również swą działalnością i miejscową młodzież szkolną, która grupowała się w specjalnych kołach P.C.K. W 1935 r. na środki oddziału uruchomiono specjalną świetlicę dla tych kół i zaopatrzono ją w radio, różne gry świetlicowe i potrzebny sprzęt.

Oddział P.C.K. prowadził także działalność społeczną: organizował akcje dożywania wśród biednych i bezrobotynych, prowadził Gospodę Ludową, a następnie Ognisko, uruchamiał część swego punktu sanitarno – odżywczego w czasie epidemii, udzielał pomocy dla powodzian i tp.

W latach powojennych, gdy władze komunistyczne "walczyły" ze wszystkim, co się kojarzyło z II Rzeczpospolitą, a okres przedwojenny w historii Kresów przedstawiano jako okres nędzy i ciemiężenia przez "polskich panów", działalność entuzjastów z baranowickiego oddziału P.C.K. była zapomniana.

Jednak w tym roku autorowi udało się poznać ludzi, których rodziny były wówczas związane z P.C.K. I dzięki nadesłanym fotografiom informacja ze starego przedwojennego przewodnika „ożyła”

Pierwszą grupę zdjęć nadesłała z Warszawy p. Zofia Machowska, córka majora Andrzej Wężyka.

Według słów p. Zofii mjr. Wężyk (1888 – 1965) był lekarzem z powołania, społecznikiem, entuzjastą PCK, której to instytucji pozostal wierny do końca. W czasie Powstania Warszawskiego był kierownikiem Punktu Sanitarnego PCK przy ul. Brackiej, nosił opaskę ze znakiem czerwonego Krzyża. Już po wojnie, po przejściu w stan spoczynku kierował poradnią skórną-weneryczną w ośrodku zdrowia oraz współpracował z Kliniką Dermatologiczną Akademii Lekarskiej.

Druga grupa fotografji nadesłana przez p. Julitę Neumann. Z Baranowiczami była związana rodzina jej babci Reginy Laszuk, która pracowała w miejskim oddziale P.C.K. jako sanitariuszka.

P.S. Zapraszamy naszych czytelników podzielić się informacją na temat działalność P.C.K. w Baranowiczach oraz ludzi przedstawionych na zdjęciach.



Mjr. Andrzej Wężyk *(ze zbiorów Z. Machowskiej)*



Mjr. Andrzej Wężyk z córką przed domem w Baranowiczach (ze zbiorów Z. Machowskiej)

SOWIETYZACJA BIAŁORUSI W LATACH 1929–1938

Są kraje, w których człowiek nie jest wart nic; są nawet takie, w których wart jest mniej niż nic.
Monteskiusz,
O duchu praw (1748).

ZAKUWANIE W DYBY

Po pierwszych latach dyktatury komunistycznej zaszła istotna zmiana w psychologii bolszewików. Ujawniła się bowiem całkowita bezpodstawność i utopijność głoszonej przez nich teorii społecznej. Stanęli przed dylematem historycznym: albo kapitulować i oddać władzę, albo przystąpić do budowy „socjalizmu", z góry wiedząc, że nie będzie miał nic wspólnego z proklamowanym rajem komunistycznym, i że budować go przyjdzie w zażartej walce z własnym narodem i na jego kościach. Dlatego kwestie przemocy i przymusu w rządzeniu zajęły w polityce bolszewickiej miejsce centralne, pojmowanie „nowego ustroju" sprowadziło się do traktowania doktryny komunistycznej jako skutecznego sposobu utrzymywania władzy – absolutnego i totalnego panowania.

Okoliczność, że Białoruś była republiką przygraniczną wyciskało piętno literalnie na wszystkich stronach jej życia. Ten czynnik specjalnie podkreślano w dokumentach partyjnych jako podstawowy w jej położeniu politycznym. Z tych samych względów Moskwa poświęcała szczególną uwagę swym wpływom na tym terytorium.

Przede wszystkim uderzono w samoorganizację ludzi pracy, przedstawicielami których komuniści się mienili. Ze związków zawodowych usunięto starą kadrę związkową, a nowo powstałe związki zamieniono niebawem w instrument partii komunistycznej, powołany do trzymania robotników w karbach i zapobiegania ewentualnym protestom. Zatraciły funkcję obrony interesów robotników, zachowując jedynie nazwę. Sowieckie związki zawodowe broniły interesów pracodawcy, czyli aparatu



państwa komunistycznego. Robotnicy dobrze to rozumieli, szybko zmiarkowawszy, że komitety zakładowe i administracja „to jedno i to samo, pracują wspólnie, razem". Opisując sytuację w 1929 roku OGPU informowało o ostrych wypowiedziach pod adresem związków zawodowych: „Ki diabeł wybieramy komitet zakładowy i radę oddziałową. Okazały się niepotrzebnymi organizacjami. Wybieraliśmy je po to, żeby broniły robotników – członków związku zawodowego, a im wyszło odwrotnie. Pomagają administracji zwalniać robotników. Dosiedli ulubionego konika «wyście towarzysze, gospodarzami fabryki», a jak się spojrzy na gospodarzy, to zobaczy, jak się nas wyrzuca całymi setkami na pośredniak".

Charakterystycznym środkiem konstruowania sowieckiego systemu władzy były „czystki" aparatu partyjnego i państwowego. Jedną z pierwszych tego typu masowych akcji w urzędach sowieckich przeprowadzono w latach 1932–1933. W pierwszej kolejności pozbawiano się kadry przedrewolucyjnej. Kierowano się przy tym „wyczuciem proletariackim". Miejsce „wyczyszczonych" zajmowali ludzie z tak zwanego awansu społecznego, pochodzenia robotniczego lub chłopskiego, kierowani nieraz nawet do pracy w sądach.

Na skutek przejęcia przez państwo wszystkich kluczowych sektorów życia publicznego kraju nastąpił szybki rozrost biurokracji sowieckiej. Dawnych prywatnych właścicieli i specjalistów stopniowo zastępowano nową bolszewicką kadrą biurokratyczną. Tworzono też nowe, przedtem nieistniejące struktury partyjne i państwowe, wchłaniające rzesze urzędników. Prominenci nowego systemu otrzymywali przywileje, o których pozostała ludność mogła tylko marzyć. Dotyczyły nie tylko płac, wysokość których była nieporównywalnie wyższa od średniej krajowej Przysługiwały im komfortowe mieszkania i dacze, specjalna opieka lekarska, dobrej jakości żywność i towary, sprzedawane po zaniżonych cenach w specjalnych sklepach, co w warunkach katastrofalnego deficytu mieszkań i artykułów konsumpcyjnych lat 30. było przywilejem wyjątkowym. Właśnie w tamtych latach zarysowała się tendencja warunkująca powstawanie nowej „elity", swego rodzaju sowieckiej „burżuazji".

Zjawisko to, zwane władzą nomenklatury, właściwe było wszystkim krajom komunistycznym, ale po raz pierwszy powstało i rozwinęło się w społeczeństwie sowieckim. Do nomenklatury zaliczano pracowników zajmujących kluczowe stanowiska w strukturach państwowych i partyjnych. Na szczeblu republikańskim i lokalnym komitety partyjne dysponowały wykazem stanowisk i posad oraz kandydatów do ich objęcia. W 1937 roku nomenklatura stanowisk KC KP(b) B zawierała 5119 pozycji podzielonych na siedem kategorii. Przykładowo, do siódmej (najwyższej) kategorii zaliczono przewodniczącego Centralnego Komitetu Wykonawczego i prezesa Rady Komisarzy Ludowych, prokuratora generalnego republiki, a do pierwszej (najniższej) sekretarzy komitetów wykonawczych powiatów i miast, sędziów szczebla lokalnego. Wszystkie personalne listy zatwierdzane były przez organa bezpieczeństwa. Zorganizowany w ten sposób system zapewniał całkowitą kontrolę nad doborem kadr. Dodatkowym czynnikiem scalającym układ była niezmienna zasada, zgodnie z którą w razie utraty stanowiska lub aresztu urzędnicy tracili jednocześnie wszelkie prawa do własności przydzielonej im przez państwo. Innymi słowy istniał porządek, w którym osiągnięcie specjalnej pozycji, umożliwiającej względnie wysoki poziom życia, uzależnione było wyłącznie od znalezienia się w wykazach nomenklaturowych. Z utratą miejsca w układach tracono też dobrobyt. Toteż w obawie przed narażeniem się władzy urzędnicy unikali podejmowania odpowiedzialności i przejawiania inicjatywy. Nauczyli się natomiast ukrywać rzeczywisty stan rzeczy i informować zwierzchników przeważnie o stronniczo ujętych pozytywnych faktach, wspomagając się nawzajem w poszukiwaniu nowych, bardziej prestiżowych i intratnych miejsc pracy. Opanowali też sztukę biurokratycznej samoobrony, zachowania układów i klienteli. Stopniowo stało się to tradycją sowieckiej biurokracji, cechą charakterystyczną stylu rządzenia w ZSRS.

Pod koniec lat 30. nomenklaturowy system kierowania społeczeństwem ostatecznie się utrwalił. Od tamtego czasu poddawany był jedynie modernizacji, ale zasadniczo nie zmieniał się do końca istnienia Związku Sowieckiego. Własność prywatna jako kategoria prawno-ekonomiczna została zniesiona i zastąpiona inną formą własności – monopolem politycznej władzy nomenklatury oraz kontrolą nad wszelką istotną dla jej przetrwania informacją.

KOLEKTYWIZACJA

W grudniu 1927 roku komuniści sowieccy podjęli decyzję o przekształceniu drobnych gospodarstw chłopskich w wielkie rolnicze spółdzielnie produkcyjne. Po raz pierwszy w historii wymuszano na ludziach wspólne zbiorowe gospodarowanie ziemią na takich warunkach i na tak ogromną skalę. Propagandowo tłumaczono to koniecznością wprowadzenia bardziej „racjonalnej" formy socjalistycznej produkcji rolniczej i usprawnieniem zarządzania.

W tym miejscu warto wspomnieć, że mimo pozornego novum bolszewicka rewolucja na wsi historycznie była zakorzeniona w tradycjach i kulturze politycznej społeczeństwa rosyjskiego. W dawnej Rosji także odgórnie przeorganizowywano, nieraz z zastosowaniem środków przymusu, socjalną »»»



»»» strukturę społeczeństwa w ten sposób, by wszystkie jego warstwy z konieczności służyły władzy. Skrajną formą tego typu przeobrażeń było zalegalizowanie w wiekach XVI – XVII stanu pańszczyźnianego chłopstwa rosyjskiego, czyli prawa przypisującego chłopów do ziemi. Komunistyczna kolektywizacja była właściwie zwielokrotnionym powtórzeniem carskiego wzoru. Powstałe w jej toku kołchozy przypominały spółdzielnie jedynie swą fasadą. W istocie zaś były nastawione na maksymalny wyzysk rolników i pod tym względem niczym się nie różniły od dawnej pańszczyzny. Warto też uwzględniać, że dopiero w 1907 roku, w okresie urzędowania Piotra Stołypina, chłopi zyskali prawo do wystąpienia z *„miru”* (wspólnoty gminnej) wraz z użytkowanymi przez nich nadziałami, co pozwalało uniknąć ciągłych ponownych podziałów gruntów i „urawniłowki”. Co prawda, do roku 1917 przywiązanie włościan do swych nadziałów znacznie wzrosło, ale pamięć o wspólności władania ziemią nie zatarła się jeszcze i kołchozy mogły być odbierane przez część chłopów nie jako coś absolutnie nowego, lecz jako zmieniona forma dawnej wspólnoty.

Pod względem ekonomicznym i strukturalnym kołchoz był przedsięwzięciem z założenia beznadziejnym, ponieważ praca kolektywna na wsi nie stwarzała bodźców, zainteresowania materialnego, co blokowało aktywność gospodarczą. Trudno się dziwić, iż chłopi traktowali pracę w kołchozie jak odrodzenie przymusowej pracy. Wrażenie to zostało spotęgowane nałożonym przez statut kołchozów obowiązkiem odpracowania w ciągu roku określonego minimum dniówek obrachunkowych oraz faktycznym przypisaniem chłopów do ziemi, gdyż kołchoźnikom odmówiono wydania dowodów osobistych niezbędnych do zmiany miejsca zamieszkania.

Po doświadczeniach komunizmu wojennego władze zorientowały się, że kolektywizacja była eksperymentem chybionym, lecz do błędu już nie można było się przyznać. Po „kanonizacji” kołchozu nie sposób było z niego zrezygnować, bo mogłoby to oznaczać wyrzeczenie się systemu jako całości. Żeby ukryć niepowodzenie trzeba było na wszystkie możliwe sposoby zastraszyć ludzi, odzwyczaić ich od posiadania własnych sądów i samodzielnego myślenia, zmusić do uznania istnienia rzeczy nieistniejących, dowodząc słuszności tez mijających się z rzeczywistością. Zrzeszeni w kołchozach chłopi mieli być poddani „reedukacji” i zmuszeni do przekazania większej części swych dochodów na rzecz industrializacji. Taką politykę usiłowano uzasadniać ideologicznie, bo zgodnie z doktryną bolszewicką chłopi stanowili „żywioł drobnoburżuazyjny” i bez pomocy klasy robotniczej nie mogli zbudować komunizmu. Wyżej wymienione czynniki ostatecznie zadecydowały o przeprowadzeniu przyspieszonej masowej kolektywizacji. Zrealizować ją można było tylko pozbawiając się „zatwardziałych” elementów na wsi. Proces ten zyskał miano „rozkułaczania”.

PRZEŁOMOWY ROK

Posunięcia kolektywizacyjne, w połączeniu z przymusowymi konfiskatami, rekwizycjami zboża, zaktywizowano w 1929 roku.

Białoruscy bolszewicy nie tylko wzorowo wykonywali dyrektywy Moskwy, ale też sami przejawiali inicjatywę. W lutym 1930 roku wystosowali do KC WKP(b) memoriał z propozycją uznania BSRS za republikę powszechnej kolektywizacji. Rozpoczęto bezprecedensowe, co do skali i następstw, „przeorywanie” społecznej i gospodarczej struktury białoruskiej wsi. Kołchozy stawały się właściwie koproducentami umożliwiającymi pozarynkową rekwizycję zboża. Bydło i inwentarz martwy uspołeczniano bez rekompensaty pieniężnej, a wniesionego do kołchozu udziału nie uwzględniano przy podziale wytworzonej produkcji. Dlatego liczni chłopi przed wstąpieniem do kołchozu zabijali część trzody, co spowodowało gwałtowny i znaczny spadek jej pogłowia. Tak w porównaniu do 1928 roku w roku 1933 na Białorusi pogłowie koni zmniejszyło się o 28%, bydła o 29%, świń o 32%, owiec o 46%. Nawet w 1940 roku nie osiągnięto liczebności sprzed rozpoczęcia masowej kolektywizacji.

Życie kołchozowe podlegało drobiazgowej reglamentacji. Kierownictwo partyjne i administracja kolektywnych gospodarstw udzielały rolnikom wskazówek co do terminów zasiewów i zbiorów, upraw, rozporządzały też wynikami pracy kołchoźników. Od początku powszechnej kolektywizacji kołchoz kształtował się nie jako forma gospodarstwa spółdzielczego, lecz jako ogniwo systemu administracyjno-nakazowego pozbawiającego rolników inicjatywy gospodarczej. Szeregowi kołchoźnicy mieli znikomy wpływ na wybory przewodniczącego kołchozu.



Z reguły jego kandydaturę proponowały powiatowe władze partyjne, a zebranie kołchoźników zazwyczaj automatycznie ją zatwierdzało. Na przewodniczących kołchozów wybierano komunistów, komsomolców i bezpartyjnych aktywistów.

Dążenie Sowietów do przyspieszenia kolektywizacji przypominało próbę szybkiego zbudowania komunizmu w 1918 roku. W październiku 1929 roku poziom kolektywizacji w BSRS był znikomy, stanowił zaledwie 3,6% i był dwukrotnie mniejszy od przeciętnego w ZSRS (7,6%). Ale już w marcu 1930 roku w kołchozach skupiono 58% ogólnej liczby gospodarstw wiejskich Białorusi.

Mechanizm przymusu i wyzysku obrazuje relacja jednego z powiatowych sekretarzy partii: „Otrzymywaliśmy z centrum, a następnie przekazywaliśmy każdemu kołchozowi zlecenie. Jesienią, po zbiorach, wymagaliśmy planowych dostaw obowiązkowych. Jeżeli kołchoz się z nich nie wywiązywał – zabieraliśmy wszystko, nawet ziarno siewne. Co prawda, na zasiew oddawaliśmy. Gospodarze indywidualni, a nieraz i kołchoźnicy, próbowali okazywać niezadowolenie z powodu takiej administracyjnej samowoli, myśmy natomiast uważali, że oni sabotują linię partii. Na odgórne rozporządzenie w powiecie zorganizowano cztery „trójki”. Z reguły w ich skład wchodziły trzy osoby z aktywu partyjnego. Za zgodą Prokuratury BSRS jeździły one po gminach i zasądzały unikających wykonania dostaw zboża dla państwa”.

W terenie stosowano o wiele prostsze metody „zapędzania” do kolektywnych gospodarstw. W jednym z pierwszych organizowanych w okręgu mińskim kołchozów przybyły tam funkcjonariusz GPU zażądał zwołania zebrania. W trakcie jego przebiegu wyjął z kabury rewolwer, położył przed sobą na stole i oświadczył: „Wszyscy wy tu patrzycie w stronę Polski i na Polaków oczekujecie. Ale prędzej zobaczycie Sybir, niż Polaków”. Inny świadek wydarzeń przypomina sobie następujący sposób „namawiania” do kołchozu. Przyjechawszy na zebranie przedstawiciel powiatowego komitetu partii zwołał ludność do budynku szkoły i od razu zarządził głosowanie w sprawie kolektywizacji: „Kto jest przeciwko zorganizowaniu kołchozu, proszę podnieść ręce – ryknął donośnym głosem. Włościanie siedzieli stłamszeni. Nikt nie miał odwagi powiedzieć ani słowa, bo wszyscy rozumieli, że podniesienie ręki przeciwko kołchozowi może oznaczać zesłanie na Sybir, w ślad za wysłanymi wczoraj sąsiadami”.

Względem szczególnie opornych stosowano wywieranie systematycznej presji. Jak wspominała wieśniaczka z Witebszczyzny, ją i jej rodzinę ciągle straszono zesłaniem na „Sołowki”, nad „Ocean Lodowaty” i konfiskatą mienia w razie odmowy wstąpienia do kołchozu. Najpierw namówiono do przystąpienia jej niepełnoletniego syna, następnie zastraszono jej męża i tamten również dał zgodę. Lecz uparta włościanka nadal się broniła. Ażeby ją zmusić w ich domu powybijano szyby, rozbito podłogę, a podczas nieobecności gospodarzy zabrano im cały dobytek. „Po tym musiałam pójść do komuny” – wyznała ze smutkiem.

Gospodarzy indywidualnych gnębiono też niewspółmiernymi podatkami. Różnice w opodatkowaniu poszczególnych grup społecznych mieszkańców wsi sięgnęła astronomicznych rozmiarów. Przykładem w 1931 roku w przeliczeniu na jeden dwór gospodarz indywidualny płacił podatek dziesięciokrotnie większy niż kołchoźnik, a „kułak” sto czterdzieści razy większy. Wysokość opodatkowania kułackiego dworu zwiększyła się od roku 1930 ponad dwukrotnie.

CHWILOWE ULŻENIE I POWRÓT DO PAŃSZCZYZNY

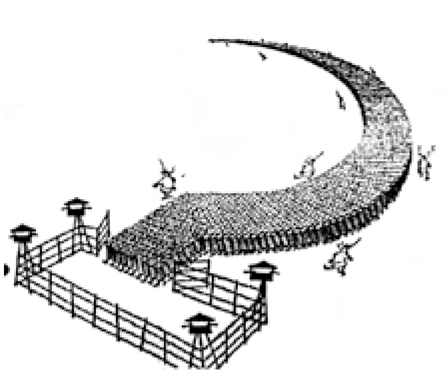
Przymusowa kolektywizacja napotkała jednak sprzeciw chłopów, zwłaszcza w narodowościowych regionach ZSRS, co stwarzało »»»

»»» zagrożenie dla planów przeprowadzenia całej kampanii. Zmusiło to bolszewickie kierownictwo wiosną 1930 roku do cofnięcia się i uznania przyspieszonego uspołecznienia gospodarstw za „poważne błędy" i „przegięcia". W marcu 1930 roku został opublikowany artykuł Stalina pt. *Zawrót głowy od sukcesów*, w którym krytykowane były „poważne błędy" i „przegięcia" w toku kolektywizacji na jej pierwszym etapie – od zimy do początku wiosny 1930 roku.

Tak ostra zmiana polityki zmieszała lokalnych partyjnych i sowieckich funkcjonariuszy. Trudno powiedzieć, jakie nastroje panowały wówczas w szeregach kierowników Białorusi. Ostatecznie jednak wywnioskowano, że chodzi tylko o posunięcie taktyczne, a nie o zmianę polityki wobec wsi. Białoruskie gazety opublikowały artykuł przewodniczącego Centralnego Komitetu Wykonawczego BSRS Aleksandra Czerwiakowa, w którym tamten nawoływał do szybkiego i zdecydowanego unicestwienia kułactwa poprzez całkowitą kolektywizację. Wszelki brak zdecydowania w tej kwestii będzie szkodził sprawie – pisał Czerwiakow.

Przymusowo utworzone kołchozy zaczęły rozpadać się dobitnie udowadniając, że chłopi wcale nie zamierzali rezygnować ze swej własności i potwierdzając niezdolność do życia tej nowej, nieznanej wcześniej światu formy prowadzenia gospodarstwa rolnego. Do połowy 1930 roku dwie trzecie z nich już nie istniały. W kołchozach BSRS pozostawało naówczas zaledwie 11,8% gospodarstw, co stanowiło jeden z najniższych wskaźników wśród regionów ZSRS. Na Ukrainie wskaźnik ten stanowił 38,8%, w Zakaukaziu 15%, a przeciętny w całym Związku Sowieckim – 24,1%.

Masowe wyjście chłopów z kołchozów wiosną i latem 1930 roku nie wpłynęło na zmianę zamiarów komunistów, uparcie dążących do całkowitego uspołecznienia majątku rolniczego.



Doświadczenie zastosowania środków nadzwyczajnych pod koniec lat 20. przekonało ich bowiem, że przewaga gospodarstw indywidualnych istotnie osłabia kontrolę nad włościanami, stanowiącymi większą część ludności kraju, i utrudnia scentralizowany skup zboża. A o to przecież Moskwie przede wszystkim chodziło, gdyż właśnie eksport zboża był źródłem uzyskiwania dewiz niezbędnych dla industrializacji i zbrojenia się. Plany skupu zboża były ściśle związane z jego sprzedażą za granicę. W jednej z uchwał partyjnych podkreślano: „Należy pamiętać, że wykonanie ustalonych planów skupu zboża we właściwym czasie związane jest z realizacją planu eksportu, mającego wyjątkowe znaczenie dla zapewnienia rozwijanego w kraju budownictwa przemysłowego". Inicjatorem uchwalenia tej rezolucji był Stalin, który żądał „szalonego przyspieszenia wywozu zboża".

Białoruscy komuniści potraktowali postawione przed nimi zadanie w sposób „odpowiedzialny" i do początku 1932 roku 50,4% gospodarstw chłopskich Białorusi skolektywizowano. W październiku 1934 roku odsetek ten sięgnął 61,2%. W grudniu tegoż roku sekretarz KC KP(b)B Nikołaj Gikało raportował o 85% kolektywizacji.

WIEŚ REAGUJE

Smutny obraz budowy socjalizmu na wsi białoruskiej rysuje się z opowiadań chłopów: „Pracowałem przez cały rok, a otrzymałem za to ziemniaków 12 pudów (*ok. 197 kg*), jęczmienia – 32 kg, owsa 15 kg. Pracowałem rzetelnie, bez dni wolnych, a teraz muszę umierać wraz z rodziną z głodu. Świnie w naszym kołchozie jedzą ziemniaków do syta, a ja z dziećmi mam nie widzieć na oczy kartofla"; „Całe nasze sioło było wiecznymi parobkami u obszarnika, dopiero w 1929 roku dostaliśmy ziemię. Kiedy nas zrzeszono w kołchozie, byliśmy bardzo zadowoleni, lecz teraz, popracowawszy przez rok, widzę, że żyć w tym kołchozie się nie da; „Żyłem na 2 dziesięcinach i byłem zaopatrzony we wszystko, a teraz muszę z dziećmi głodować"; „Pracowaliśmy dobrze, ale nic nie dostawaliśmy, mam rodzinę z sześciu osób i wyżywić ich nie mogę"; „U obszarnika pracowaliśmy za 30 kopiejek dziennie, a w kołchozie nawet tego nie otrzymywaliśmy"; „Przepracowaliśmy lato, nic nie dostaliśmy. Gdy byliśmy gospodarzami indywidualnymi, lepiej się nam wiodło"; „W kołchozie jest źle. Gdy pracowałem na swoim, miałem ziemniaki, chleb, a teraz nic nie otrzymałem. Sam siebie zgubiłem, kiedy wstąpiłem do kołchozu"; „Gdyby kierownicy nie dawali nam planów, sprawy wyglądałyby lepiej, a tak to siejemy sporo, ale chleba nie będzie"; „W kołchozach nie opłaca się pracować, przez cały rok się pracuje i nie wie, co otrzyma".

Tylko w ciągu pierwszej dekady lipca 1932 roku w dziewięciu rejonach BSRS rozpadło się 56 kołchozów. Masowemu odejściu z nich chłopów w niektórych miejscowościach towarzyszyło rozkradanie uspołecznionego majątku i inwentarza. Chłopi bardzo szybko się przekonali, że kołchozy niosą nie polepszenie życia, lecz biedę i ruinę. Wszystko to budziło ich niezadowolenie, a urzędy były zasypywane skargami dotyczącymi niskiej wydajności pracy w kołchozach, bumelanctwa, pijaństwa, kradzieży i nadużyć. Niezadowolenie budziło aktywny i bierny sprzeciw. Jedną z najcięższych, co do swych następstw, form chłopskiego protestu stał

się zamierzony ubój bydła przed wstąpieniem do kołchozu. Inną formą masowego protestu była ucieczka chłopów do miast i ośrodków przemysłowych.

Od zimy 1930 roku notuje się narastanie aktywnego stawiania oporu chłopów władzom, a jednocześnie zaczyna zmieniać się jego charakter. Z dokumentów OGPU wynika, że o ile w latach 1928–1929 najbardziej masowe wystąpienia na wsi związane były z przymusową rekwizycją zboża, to od roku 1930 protesty skierowane były głównie przeciwko kolektywizacji i kołchozom. W 1930 roku w ZSRS skupiono w nich 2,5mln osób (w 1929 r. – 244tys.). Wówczas sowieckie organa karne zaliczały Białoruś do grupy „najbardziej dotkniętych antysowieckimi ekscesami rejonów", rejestrując tam 548 masowych wystąpień. W okręgu mozyrskim na Polesiu protestujący ścierali się nawet z oddziałami bezpieki. W ciągu zaledwie paru miesięcy na przełomie lat 1929/30 w republice doszło do ponad sześćdziesięciu zabójstw aktywistów, napadów na kołchoźników i podpaleń w kołchozach. Najwięcej tego typu aktów dokonywano w rejonach, gdzie kolektywizację wprowadzano ze szczególną gorliwością. Niektórzy chłopi śpiesznie likwidowali swoje gospodarstwa, zabijali bydło, palili zboże, niszczyli sprzęt rolniczy i uciekali za granicę lub do innych regionów ZSRS. Z danych GPU wynika, że od maja 1932 do lutego 1933 roku na wsi białoruskiej aresztowano około 30 tys. włościan.

KOMUNISTYCZNY ODWET

Znacznemu zaostrzeniu uległo ustawodawstwo. W maju 1931 roku weszło w życie prawo o ustroju sądów BSRS, które w dość specyficzny sposób ujmowało ich zadania jako realizację „rewolucyjnej praworządności", „zgniecenie oporu wroga klasowego" oraz umocnienie dyscypliny pracowniczej.

W kwietniu 1932 roku Politbiuro KC WKP(b) „poleciło" sowieckim organom karnym uważać organizatorów kradzieży zboża i towarów za „wrogów ludu", oraz skazywać ich na karę śmierci, a współsprawców na długoletnie uwięzienie w obozach koncentracyjnych. Wykonując tę dyrektywę rząd ZSRS wydał stosowny dekret, uznający przywłaszczycieli mienia społecznego za „wrogów ludu" i przywidujący zastosowanie względem nich rozstrzelania lub pozbawienia wolności terminem nie mniejszym niż dziesięć lat. W sierpniu tegoż roku władze BSRS wprowadziły analogiczne prawo. Ten surowy dekret ludzie nazwali „prawem o pięciu kłoskach", bo za zbieranie kłosów na kołchozowym polu po żniwach, „kradzież" jednej główki kapusty lub kilku ziemniaków pozostawionych w polu, sądy mogły skazać „winnych" na dziesięć lat pozbawienia wolności.

W 1933 roku całkowite niepowodzenie pierwszej pięciolatki w dziedzinie rolnictwa stało się oczywiste, gdyż żaden wskaźnik planu rozwoju tej branży nie został wykonany. Masowe represje spadające na chłopów zaogniły sytuację na wsi i stały się podstawowym źródłem niezadowolenia i rozpaczliwego oporu. Sytuacja groziła wybuchem oraz bardzo poważnymi konsekwencjami dla rządzących. Komuniści mieli tego świadomość i instynkt totalitarny podpowiadał im, że trzeba stworzyć jakąś nową strukturę służącą załagodzeniu ewentualnego kryzysu. Ogniwem tym stały się działy polityczne w Ośrodkach Maszyn Rolniczych, utworzone w styczniu 1933 roku jako nadzwyczajne struktury partii komunistycznej, skupiające pełnomocnictwa organów politycznych, gospodarczych i karnych. Miały też za zadanie „oczyszczanie" kołchozów z wrogich klasowo elementów. Działy polityczne były zorientowane zatem na realizację środków nadzwyczajnych. Jednak przełomu w rozwoju rolnictwa dokonać się nie udało. Faktycznie organa te stały się dodatkowym instrumentem ogałacania



głodującej wówczas wsi z resztek zapasów zboża. Ich działalność skierowana na „oczyszczanie" kołchozów z „wrogich elementów" spowodowała tragedię nowych dziesiątków tysięcy ludzi i wzmogła niszczycielskie następstwa kolektywizacji.

ROZKUŁACZANIE

Jednocześnie podjęto akcję „rozkułaczania", realizowaną na podstawie tak zwanego podejścia klasowego, co miało przyśpieszyć proces kolektywizacji. Chodziło głownie o neutralizację chłopstwa poprzez zniszczenie jego zamożniejszej, samodzielnej i najaktywniejszej warstwy. Chciano jednoznacznie pokazać, iż alternatywa kołchozowi może być tak straszna, że dokonanie „jedynie słusznego" wyboru oznacza wybranie z dwojga złego zła mniejszego. W tym celu wymyślono specjalną kategorie, z założenia bardzo mgliście zdefiniowaną, by w razie potrzeby można było włączyć do niej wszystkich opornych, nawet małorolnych. Za kułackie mogło być uznane gospodarstwo, które „systematycznie korzystało z najemnej pracy", posiadało młyn lub maszyny rolnicze o napędzie mechanicznym, czy też je odnajmowało, a także jeśli członkowie takiego gospodarstwa trudnili się handlem. Ponadto rządy republik związkowych uprawnione były do zmiany kryteriów oceny przynależności gospodarstwa do kategorii kułackich z uwzględnieniem lokalnych warunków.

»»»

»»» Grupę tę postanowiono traktować z ostentacyjną brutalnością, by reszta nieogarniętych kolektywizacją chłopów, usiłując uniknąć podobnego losu, zaczęła wstępować do kołchozów. Zgodnie z powziętym planem wywłaszczenie miało być przeprowadzone w trybie masowym, pod hasłem „likwidacji kułactwa jako klasy". Pod koniec lat 20. i na początku 1930 roku w niektórych rejonach przystąpiono do wysiedlania kułaków poza granice republiki i konfiskaty ich mienia. Stopniowo rozkułaczanie przybierało na sile. W praktyce deportowano nie tylko „kułaków", ale także tak zwanych „popleczników kułaków" (*podkułaczników*), do których zaliczano chłopów średniorolnych i małorolnych, a nawet robotników rolnych, podejrzewanych o działalność „antykołchozową". Środki użyte przeciwko zamożniejszym rolnikom były bardzo surowe.

Uchwała KC WKP(b) ze stycznia 1930 roku wzywała do całkowitego zakończenia kolektywizacji najpóźniej do wiosny 1932 roku i „likwidacji kułaków jako klasy". Ten eufemizm ideologiczny oznaczał właściwie przymusowe podporządkowanie rolnictwa kraju władzy partii. Jak zaznaczaliśmy wyżej, samo pojęcie „kułak" miało dość mglisty sens i było interpretowane nader szeroko. Terminy «biedniak» i «kułak», dawniej również na wsi rozpowszechnione, po rewolucji zachowały swoje niegdysiejsze znaczenie, ale nabrały też nowego sensu, pod wpływem zaistniałych okoliczności i polityki. Władza sowiecka sprzyjała biedniakom i uciskała kułaków. Zatem w terminologii sowieckiej słowo „biedniak" oznaczało zarówno małorolnego chłopa, który na swym gospodarstwie z trudem mógł wiązać koniec z końcem, jak też włościanina będącego sojusznikiem władzy sowieckiej. Odpowiednio terminu „kułak" używano w stosunku do zamożnych chłopów, zajmujących dominujące stanowisko na wsi i nastawionych przeciwko władzy sowieckiej. Ale kułakami zaczęto nazywać również wszystkich tych, kto z władzą sowiecką się nie zgadzał lub przeciwko niej występował, niezależnie od swego rzeczywistego stanu majątkowego. Właściwie za „kułaka", czyli wroga, uchodził każdy, kto sprzeciwiał się kolektywizacji. Ponieważ przynależność do kategorii „kułaków" określano w sposób zupełnie dowolny, bez zastosowania jakichkolwiek dokładnie ustalonych kryteriów, stwarzało to prawie nieograniczone warunki do samowoli.

Politbiuro KC WKP(b) „proponowało" OGPU represjonować kułaków w ciągu lutego – maja 1930 roku, podając nawet szacunkowe liczby. Na pierwszym etapie do łagrów planowano skierować 60 tys. i deportować do odległych rejonów 150 tys. kułaków. Dla Białorusi ustalono „normę" 4–5 tys. do osadzenia w obozach koncentracyjnych lub rozstrzelania i 6–7 tys. podlegających deportacji. Obszarami ich zamieszkania miały się stać mało zaludnione i słabo zagospodarowane miejscowości północnej części ZSRS, w których wypędzeni powinni byli pracować przy ścinaniu lasów, w rolnictwie, trudnić się rybołówstwem itp. Całe mienie deportowanych konfiskowano. Pozostawiano tylko część przedmiotów domowego użytku, niektóre mające się przydać na nowym miejscu narzędzia pracy i niezbędne w początkowym okresie minimum żywności. Według informacji OGPU w latach 1930–1931 w ZSRS przesiedlono ponad 380 tys. rodzin w liczbie 1803392 osób.

Wysiedleniom towarzyszyły grabieże i przywłaszczenia cudzego mienia, sprawcami których byli mieszkańcy wsi pomagający rozkułaczaniu i otrzymujący za to wynagrodzenie. Wstrząsające i przerażające swym cynizmem fakty konfiskaty mienia „rozkułaczonych" zawierają materiały archiwalne. W domach rozkułaczonych chłopów urządzano libacje ze spożywaniem „skonfiskowanej" żywności i spirytualiów. Znalezioną w kułackim domu wodą kolońską opryskiwali się wszyscy obecni, „żeby lepiej pachniało". Urzędnicy państwowi przywłaszczali sobie domy i meble rozkułaczonych chłopów. W wielu wsiach członkowie brygad robotniczych, pracownicy aparatu państwowego i partyjnego zabierali „kułakom" ubrania i dziecięce rzeczy, zmuszali gospodarzy do zzuwania butów by je natychmiast zabrać, „konfiskowali" im nawet okulary. Aktywiści dzielili „skonfiskowany" majątek pomiędzy siebie, a znalezioną żywność i trunki zjadali i wypijali na miejscu. „Konfiskowano" gotującą się w piecu kaszę, zamazując nią ikony. Małorolni i „aktywiści" szantażowali nieraz zamożnych chłopów, biorąc łapówki za skreślenie ich nazwisk z list osób podlegających deportacji. W wielu wypadkach zabrane bydło nie karmiono i tamte padało z wygłodzenia. Grabieże powodowały panikę wśród chłopów, a po bogatszych zagrodach przetoczyła się fala samobójstw.

W toku rozkułaczania mieszkańców wsi udało się podzielić, wykorzystując istniejącą w środowisku wiejskim zawiść i napięcie społeczne. Zakładano (przynajmniej wynikało to z logiki wydarzeń), że „kułackie" mienie przypadnie tym, którzy zaproponują swoje usługi w jego zagarnięciu. To demoralizowało ludzi, pozbawiało ich wiary w prawo i nienaruszalność prywatnej własności, elementarnych bodźców do pracy i wiary w przyszłość.

Rozkułaczanie było właściwie usankcjonowaną przez państwo powszechną grabieżą i maruderstwem. Pozostający na miejscu, do reszty zrozpaczeni zamożniejsi włościanie, doprowadzeni do kresu swych możliwości przymusowymi dostawami zboża dla państwa, porzucali ziemię razem z urodzajem i uciekali do miast lub zatrudniali się jako robotnicy w państwowych gospodarstwach rolnych, a „rodzime" państwo ścigało ich za to w trybie karnym.

dr Jerzy Waszkiewicz



Szanowna Pani Alino,

gratuluje artykulow o ziemi Mozyrskiej i jej Mieszkancach. Dobrze ze piszecie o Polakach z Dalszych Kresow, o ich wytrwaniu w polskosci praktycznie nikt nic nie wie. Jestem pod wrazeniem opowiesci rodzinnej ks. Witalisa Myszona. Ilez ci ludzie musieli przezyc a mimo to pozostali Polakami. Chyle przed Nimi czolo. Moim zdaniem takie opowiesci maja pobudzac Polakow do checi pozostania przy polskosci. Przeciez obaj wiemy ze wielu Polakow ze wzgledow konjunkturalnych pozuca swoja polskosc na rzecz bialoruskosci. Prosze podziekowac w moim imieniu wszystkim tym kto pomaga Pani w wydaniu "Echa Polesia" robicie dobra sprawe.

Z powazaniem. Tadeusz Gawin.

Wspomnienia dawnych lat:
żołnierze niezapomniani

Był rok 1945. Wtedy uczyłam się na kursach księgowości w Homlu. Były ciężkie czasy, chłodne i głodne. Miasto było zrujnowane i w niedzielę wszyscy powinniśmy byli rozbierać ruiny. Nie wystarczało ubrań i butów: dobrze pamiętam, że na ulicy było już zimno, a ja jeszcze chodziłam boso.

Mieszkałam przy ul. Prodolnej niedaleko od stacji towarowej, a na lekcje chodziłam ulicą Stalina, która po wojnie jeszcze była drewniana. W końcu tej ulicy, po lewej stronie, stał piętrowy budynek bez okien i drzwi, ogrodzony kolczastym drutem. Codziennie mijałam go i pewnego razu usłyszałam polską mowę. Bardzo się zdziwiłam, zatrzymałam się i przywitałam : „Dzień dobry!".

Co ja zobaczyłam za tym drutem? Wyglądało to strasznie. Na chłodnej ziemi siedzieli i stali ubrani w łachmany mężczyźni w młodszym i starszym wieku, wyciągając ręce i prosząc o chleb. Oni byli strasznie wygłodniali.

Zapytałam : „Za co wy tutaj?"

– „ Za wolną Polskę!" – odpowiedzieli.

Wtedy tego nie zrozumiałam: wojna się skończyła, Polska już jest niby wolna. O czym oni mówią?

A oni wyciągali ręce przez drut i prosili jeść. Gdy raz na tydzień otrzymywałam swoją porcję chleba, to zawsze szłam do nich i dawałam. Oni brali i płakali. Tak codziennie czekali i patrzyli zza drutów na mnie, kiedy szłam na lekcje i z powrotem.

Tych więźniów nie gnano do rozbiórki ruin, czy oczyszczania ulic, jak więźniów Niemców. Byli chyba groźniejszymi wrogami dla władzy sowieckiej. Oni siedzieli bez pracy i jedzenia. Pilnowała ich m.in. żydowska kobieta z karabinem.

Tamto lato było bardzo chłodne, często lały deszcze. Kiedy świeciło słońce, to więźniowie siedzieli pod płotem. Im strasznie dokuczały wszy. Codziennie ktoś umierał. Zmarłych wywozili po ulicy Prodolnej w drewnianych skrzyniach, zbitych z byle jakich desek, na cmentarz prawosławny. Na skrzyni siedział jeden więzień i poganiał konia, a drugi siedział na wozie z łopatą. Na cmentarzu zakopywali ich po prawej stronie.

Blisko była stacja kolejowa , chodziłam czasami prosić o suchary żołnierzy, którzy wracali z Niemiec. To było bardzo niebezpieczne i nieprzyzwoite dla młodej dziewczyny.

Jednego razu na torach stał pociąg z polskimi żołnierzami, którzy jechali ze wschodu na zachód. Byli bardzo ładnie ubrani w nowe mundury. Ja podbiegłam do nich i opowiedziałam o tych, co za drutem, opowiedziałam jak oni umierają z głodu. Żołnierze z pociągu dali mi sucharów, zaniosłam je natychmiast tym naszym biednym więźniom. Jakże oni dziękowali.

Po ukończeniu kursów musiałam odjeżdżać z Homla do rodzinnej miejscowości, do swoich Telechan.

Chodziłam też pożegnać się z więźniami. Było zimno, oni krzyczeli, podbiegli do mnie, machali, prosili oddać ukłony za Bug do Polski. Ale wtedy Polska była komunistyczna i ukłony uwięzionych polskich patriotów tamtej Polsce nie były potrzebne. Do dzisiejszych czasów nie wiem, kim byli ci żołnierze. Być może byli to żołnierze Armii Krajowej?

I teraz, po 70 latach, ja wykonując ich prośbę, oddaję pokłony tym biednym Polakom za kolczastym drutem w mieście Homlu. Czy kto z nich został żywy, czy wszyscy zmarli – nie wiadomo.

Ludmiła Jakobson

Zapisała Karina Homziuk

BOHDAN NIELUBOWICZ
MOJE KRESOWE SZCZENIĘCE LATA

Drodzy Czytelnicy, dziś w rubryce „Lektura dla Ciebie" pragniemy zaprezentować Państwu fragmenty wspomnień Pana Bohdana Nielubowicza o swoim przedwojennym dzieciństwie w Brześciu n/Bugiem. Opisując wydarzenia sprzed 80 lat, autor przenosi nas , ludzi zupełnie innej epoki i innego pokolenia, do lat 20-30 XX wieku, , donosząc do nas obrazki, barwy, smaki, rytmy, powietrze tych drogich naszemu sercu lat. To są lata dzieciństwa naszych ojców i dziadków. Widzimy tamten świat oczami dziecka z kolonii Narutowicza. Spacerujemy razem z Nim ulicami przedwojennego Brześcia, Brześcia wolnego , spokojnego, pełnego radości i nadziei, sprzed defilad sowiecko-niemieckich, sprzed wojen. Wybieramy się do kina 3 maja na film „Tarzan wśród małp", wpadamy do sklepika spożywczego pani Afanasjew po krówki i landrynki, dowiadujemy się, jak się ubierali, w co bawili się, jakie pisemka dziecięce prenumerowali... Z uśmiechem czytamy o dużym czarnym dobermanie miejscowego proboszcza (pózniej biskupa) Kazimierza Bukraby, którego unikał mały Bohdan. Szczególnie interesujące są strony, opowiadające nam o ostatnich właścicielach Skoków – o rodzinie Ursyn Niemcewiczów, potomkach naszego wybitnego ziomka Juliana. Czy o koleżance brata z Gimnazjum Traugutta Krystynie Krahelskiej... Zachęcamy Drogich Czytelników do spisywania wspomnień z lat dzieciństwa z dwudziestolecia międzywojennego: żaden film ani podręcznik nie przekaże tak ducha czasu ani atmosfery tych lat jak relacje uczestnika.



Ja w tym „okropnym" kapeluszu, Poznań 1929 r.

Moje wspomnienia sięgają pierwszej połowy lat dwudziestych ubiegłego wieku i wiążą się nierozerwalnie z dawnymi kresami Rzeczypospolitej.

Ojciec mój Bronisław był architektem i inżynierem budownictwa i zajmował stanowisko w służbie państwowej w Brześciu n/Bugiem jako radca budowlany w starostwie brzeskim.

Z tego tytułu zamieszkał na wybudowanym z początkiem lat dwudziestych osiedlu urzędniczym, popularnie zwanym kolonią urzędniczą, a oficjalnie: „Osiedlem im. Gabriela Narutowicza".

Składało się ono z ponad dwudziestu wolnostojących domów, przeważnie dwu – i czterorodzinnych.

Projektowali je czołowi architekci ówczesnej Polski. W zamierzeniach rządowych osiedle miało akcentować polskość, jak i państwowość polską na Wschodnich Rubieżach II Rzeczypospolitej. Na tych



Nasz dom przy ul. Narutowicza 4, oraz domy czterorodzinne przy tej samej ulicy. (Zdjęcie z początku lat dwudziestych, bo brak jest posadzonych później drzew.)

samych zasadach powstały w Brześciu jeszcze dwa osiedla: jedno urzędnicze i drugie dla oficerów miejscowego garnizonu. Analogiczne kolonie dla urzędników państwowych i wojska wzniesiono w kilkunastu innych miejscowościach na kresach wschodnich.

Budynki mieszkalne naszej kolonii nawiązywały do architektury szlacheckiej a w szczególności do tradycji dworu polskiego. Dlatego nasz dom, jako dwu lokalowy, przypominał murowany dworek z dwoma podcieniami w narożach i łamanym, cztero spadowym dachem w stylu polskim. Nasze mieszkanie na parterze, o powierzchni około 90 m², składało się z trzech dużych pokoi, przedpokoju, kuchni, ubikacji i pomieszczenia, które można nazwać, dzisiejszą łazienką(...). Każdy z domów na osiedlu był oznaczony efektownym godłem, zaprojektowanym przez artystę plastyka. Nasz dworek miał godło, przedstawiające kotwicę.

Kolonia sąsiadowała bezpośrednio z reprezentacyjną Ulicą Unii Lubelskiej a nasz dom (przy ulicy Narutowicza 4) był oddzielony od niej i pobliskiego kościoła katolickiego Św. Krzyża, rozległą łąką. Dzierżawiła ją moja matka, pasła się tam nasza krowa. Zabawny to był widok, gdy Unią Lubelską przechodziły parady wojskowe, naturalnie z nieodłącznymi orkiestrami wojskowymi – a nasza Krasula – zszokowana niesłychanym dla niej hałasem, cwałowa po łące z zadartym ogonem. Ale powracając do orkiestr niecodzienne wrażenie robiły na mnie wielkie trąby, sterczące z za pleców maszerujących muzykantów. Zwykle tłum chłopców wyprzedzał i otaczał dziarsko kroczącą orkiestrę; zaciekle ujadały psy podniecone hałasem. W uroczystych procesjach z okazji świąt kościelnych paradowały, zarówno orkiestry wojskowe jak i strażackie.

Duże wrażenie robiły również przeciągające Unią Lubelską pogrzeby miejscowych notabli. Zawsze nastrój był pełen dostojeństwa i powagi. Zwykle niesiono przed karawanem wieńce. Kondukt posuwał się powoli w rytm marszu żałobnego Szopena.

Na przeciwległej posesji, na rogu ulicy Narutowicza i Unii Lubelskiej, wznosił się nowo wybudowany dostojny i piękny gmach Banku Polskiego. Jego narożna kopuła dominowała w tej części miasta.



Gmach Banku Polskiego na rogu ul. Unii Lubelskiej i Narutowicza

Tuż obok kościoła kończyła bieg druga ważna arteria Brześcia – Ulica 3 Maja, była prostopadła do Unii Lubelskiej, a drugi jej koniec sięgał daleko – poza szlaban torów kolejowych i cmentarz katolicki na Przedmieściu Kijowskim.

Nasza kolonia urzędnicza była najbliższej położona względem wielkiego kompleksu twierdzy brzeskiej. Na południe, aż do ujścia Muchawca do Bugu, rozciągały się pola i nieużytki. Jedynie w rejonie południowego odcinka Unii Lubelskiej, niedaleko już Muchawca, zbudowano drugie osiedle urzędnicze, zwane „Tartakiem" oraz położone w pobliżu niego osiedle oficerskie.

Po prawej stronie domu, pomiędzy ulicą a podwórzem, był ogród kwiatowy, odgrodzony od podwórza niskim płotkiem z furtką. Ogród był domeną ojca, który jako wielki miłośnik róż, sprowadzał je ze znanych, przedwojennych zakładów ogrodniczych; głównie z poznańskiego. Doskonale pamiętam zdarzenie, którego byłem sprawcą – dotyczyło właśnie – ostatnio posadzonych w ogrodzie róż. Otóż pewnego letniego dnia, ojciec opowiadał przy stole, jak należy przycinać róże i następnie usuwać nadmiar pąków – tak aby – pozostałe zakwitły jak najokazalej. Właśnie ostatnio posadzone krzewy reprezentowały nowe gatunki i ojciec z niecierpliwością kolekcjonera »»»

»»» oczekiwał ich kwitnienia. Ja jako mały brzdąc, nie bardzo widocznie rozumiejący wywody ojca, poszedłem do ogrodu i pourywałem wszystkie pąki nowych róż, a następnie w dobrej wierze przyniosłem je w obu dłoniach do domu. Ojciec wręcz zdębiał na widok tej oczywistej katastrofy. Jednak po śledztwie, nie ukarano mnie. Bardzo zawiedziona mina taty oduczyła mnie podejmowania tego rodzaju dziecięcych usług.

W okolicach Brześcia, a ściślej 40 km na północ, niedaleko południowego obrzeża Puszczy Białowieskiej, znajdowały się rodzinne majątki Nielubowiczów: Leniewicze i Klukowicze. Klasycystyczny, przestronny, murowany, piętrowy dwór, niekiedy nazywany pałacem, w Leniewiczach spłonął podczas pierwszej wojny światowej a w folwarku Klukowicze zachował się niewielki dwór z zabudowaniami gospodarczymi.


Zachowany do dzisiaj dwór w Klukowiczach

Było to dziedzictwo po mojej babce Sabinie Jahołkowskiej. Ojciec jako współwłaściciel i pełnomocnik rodziny zarządzał nim. W okresie mojego dzieciństwa posiadłości te puszczane były w dzierżawy. Niemniej były stałe kłopoty z dzierżawcami, co zmuszało ojca do częstych wyjazdów.

W Brześciu rodzice posiadali klacz Karuchę oraz dwukołową bryczkę, zwaną popularnie dwukółką. Miała swe miejsce postoju na podwórzu za domem. Pojazd po wyprzęgnięciu konia wyglądał zabawnie – jego kosz opierał się o ziemię a oba dyszle sterczały wysoko w niebo. Bryczką ojciec jeździł od czasu do czasu do Klukowicz lub do pobliskiego Kamieńca Litewskiego.

Dwa fragmenty jednego z takich wyjazdów utkwiły w mej pamięci. Przypominam sobie doskonale przeprawę promem przez rozlewiska wodne rzeki Leśnej Lewej, stanowiącej granicę południową i wschodnią naszych majątków. Na promie stała nasza, złoto-brązowa dwukółka a po obu stronach promu siedziały białoruskie kobiety w kolorowych chustach na głowie. Prom płynął majestatycznie przez głęboką wodę rozlewisk, pokrytą liśćmi i kwiatami nenufarów i żółtych kaczeńców. Drugi zapamiętany, jakby obraz, dotyczy już samych Klukowicz: W parku przed dworem bawiłem się małymi kotkami. Miałem do zabawy plecioną tacę z prostopadłymi brzegami. Z jednej strony


Widok naszego domu, z lewej strony godło domu, dalej sylwetka kościoła, po prawej stronie ogródek różany, za domem skraj zabudowy gospodarczej

tacki, było nieduże wycięcie. Kładłem tackę na trawie dnem do góry – tak aby – tworzyła domek i przez otwór wpychałem do środka małe kocięta. Potem obserwowałem – jak wychodzą kolejno z tego zaimprowizowanego pomieszczenia.

Nasz dom w Brześciu miał doprowadzony jedynie prąd elektryczny. Wodę czerpało się ze studni kopanej, zaopatrzonej w ręczną pompę żeliwną. Kanalizacji nie było również. Przy domu, od strony podwórza był, wybetonowany dół kloaczny, opróżniany co

pewien czas. Zajeżdżał wówczas beczkowóz i ludzie z czerpakami, na długich drągach, wybierali nieczystości i wlewali do beczki. Pomieszczenie łazienkowe było bardzo prymitywne, stała tam wanna z blachy cynkowej i umywalka z miednicą i dzbankiem. Ciepłą wodę do mycia i kąpieli trzeba było grzać na płycie kuchennej. Pokoje i kuchnia były ogrzewane piecami kaflowymi, opalanymi drzewem.

Przed sezonem zimowym kupowano kilkanaście songów drewna opałowego, które najęci ludzie piłowali dwuręczną piłą na odcinki, mieszczące się w palenisku pieca, a następnie rąbali siekierą na szczapy i układali w drewutni przy stajni. Dużo trzeba było przygotować tego opału, gdyż zimy wtedy na wschodnich rubieżach kraju były długie i niekiedy bardzo ciężkie a śnieg leżał zwykle od grudnia do końca kwietnia. Dla mnie przygotowywanie opału na okres zimowy było atrakcyjnym wydarzeniem i zwykle asystowałem przy tych pracach.

Naprzeciw gmachu Banku Polskiego, wśród drzew, stał stary dworek z ganeczkiem. Mieścił się tu sklepik spożywczy pani Afanasjew. Gdy tylko zdobyłem 5-cio groszówkę, a był to miedziak – znacznie większy od dzisiejszego – gnałem do pani Afanasjew. Przy otwieraniu drzwi do sklepu, odzywał się przywiązany do futryny dzwonek. Zjawiała się zażywna starsza pani. Ja wręczałem jej mojego miedziaka a ona – już nie pytając o nic – sięgała do jednego ze szklanych słoi, wyjmowała jedną krówkę, którą ja oczywiście zaraz pałaszowałem na miejscu. Inne smakołyki, a w tym i popularne wówczas landrynki, nie równały się z tymi krówkami od pani Afanasjew. Były tak samo owinięte jak dzisiejsze, a krówka na papierku była koloru bordowo brunatnego.

Za naszym domem wzdłuż ul. Narutowicza rozciągała się spora strefa niezabudowana. Wówczas były to po prostu nieużytki, z wyjątkiem drogi na nasze podwórko. Był to jednak dziwny teren zalegający odłogiem; na znacznej powierzchni rozpleniły się zwarte chaszcze potężnych ostów o białych pierzastych, zakończonych kolcami liściach. Osty te, zwane popłochem, osiągały wysokość do 1,5 m. To wielkie „ostowisko" było terenem zabaw dzieci z całego osiedla, a szczególnie z najbliższych domów. Wycinało się wąskie przejścia w tym gąszczu twardych liści i kolców i budowało wspaniałe „fortece" i miejsca ukrycia w „zabawie w chowanego". Ale były i strefy porosłe konopiami. Tu przychodzili nieznani starsi chłopcy i zakładali sidła na ptaki z włosia końskiego. Polowali w ten sposób na zlatujące do konopi piękne kolorowe szczygły.

W okresie bezśnieżnej zimy chodziłem z kilku chłopcami na rozległe rozlewiska wodne nad brzegiem pobliskiego Muchawca. Pamiętam zaskakująco piękne widoki, gdy woda pokrywała się lodem – jakby taflą szklaną – zaś pod nią – zieleniło się cudowne akwarium roślin wodnych. Trochę to zaskakujące, że rodzice nawet nie przypuszczali, że ich dzieci chodzą samotnie na tak ryzykowne wyprawy.

We wspólnych zabawach uczestniczyło dwoje dzieci z naszego domu, czyli z mansardowego mieszkania na piętrze. Było to rodzeństwo: starsza nieco ode mnie Marysia Komocka i jej młodszy brat Bogdan. Marysia była niejednokrotnie inicjatorką zabaw. Przypominam sobie, że kiedyś przy zabawie w piasku wymuszaliśmy, aby nieco safandułowaty Bogdan, próbował jeść wyprodukowane przez nas babki z piasku.

Pozostali towarzysze moich zabaw rekrutowali się z kilku sąsiednich domów z naprzeciwka. Budynki te były większe od naszego, każdy z nich był cztero mieszkalny (po dwa na parterze i dwa na mansardzie). Największa grupka dzieci zamieszkiwała jednak bezpośrednio naprzeciw nas. Były tam dwie znacznie młodsze ode mnie dziewczynki, być może bliźniaczki, nie pamiętam już ich imion – chyba Basia i Krysia Budzińskie. Ale najważniejszymi kumplami byli bracia Przemek i chyba Adaś Zieglerowie. Obaj chłopcy byli w moim wieku. Przemek był chyba nieco starszy od swego brata Adama i wyróżniał się dużą indywidualnością. Bardzo, żywy, »»»



»»» impulsywny, przedsiębiorczy i o ambicjach przywódczych. Dwóch albo trzech chłopców pochodziło z dalszych domów naszego niewielkiego osiedla. Obecnie nie są mi znane losy moich towarzyszy zabaw. Jedynym możliwym śladem może być informacja, że niejaki Ziegler Przemysław i Helena znajdowali się na liście imigrantów do Australii po drugie wojnie światowej. SS Castel Bianco wypłynął z Neapolu 5 lipca 1949 r. i dotarł do Sydney 3 września tego samego roku – czyżby to był nasz Przemek z lat mojego dzieciństwa?

Nasze podwórze było jedyne w swoim charakterze, bo miało wiele atrakcyjnych dla dzieci elementów. Tuż za płotem wspaniały teren do zabaw, zabudowanie gospodarcze z różnymi zwierzętami a przede wszystkim idealne miejsce do zabaw w postaci kurnika, który został zamieniony na warowną „twierdzę". Naturalnie wszystkie te atuty wykorzystywałem w rywalizacji z pozostałymi chłopcami, i to tym bardziej, ze nagle – wyimaginowana w dziecięcej wyobraźni twierdza – stała się w rzeczywistości centralnym punktem obronnym.

Nie przypominam już sobie okoliczności w jakich doszło nagle do wojny naszej gromadki dziecięcej z uczniami prywatnej szkoły powszechnej z pobliskiego osiedla „Tartak" lub domów oficerskich. Uczniowie ci nosili czerwone berety z emblematem szkoły i stąd nazywaliśmy ich „czerwonymi bereciarzami". Przyczyną nieporozumień było prawdopodobnie przystanie do naszej grupy dwóch nowych i bliżej nam nieznanych chłopców z dalszych domów osiedla. Widocznie dawniej bawili się razem z tamtymi chłopcami a ci uznali ich przejście do nas za zdradę i postanowili się zemścić. Chyba pierwszy atak nastąpił zupełnie niespodzianie. Kilkunastu „bereciarzy" pojawiło się nagle na drodze polnej przed otwartą bramą naszego podwórza. Błyskawicznie sforsowali wejście i dziko wyjąc, jak prawdziwi Apacze, zaczęli rzucać w nas czym popadło, a w tym niestety i kamieniami. Jednak my nie daliśmy się tak łatwo pokonać. Waląc z za kurnika tym co było pod ręką i równie walecznie wyjąc, jakoś udało nam się odparować atak napastnika. Przeciwnicy w tryumfie unieśli jednak zdobyczną kosę, skonstruowaną z długiego drąga z przywiązanym do jego jednego końca ułamanym fragmentem kółka do zabaw jednej z naszych markietanek. Pamiętam jeszcze kilka późniejszych ataków chłopców z sąsiednich kolonii, jednak nigdy więcej nie wdarli się na teren podwórza. Teraz linią walki był płot z desek a wspaniałym miejscem – jakby basztą obronną – była pozycja na skrzyni na śmieci. Tu bezpośrednio widziało się nacierającego wroga i można go było łatwiej trafić kamieniem. Raz nieźle oberwałem w głowę i trochę mnie zaćmiło. Jednak szczęśliwie zakończyło się na bólu i niewielkim guzie. Odgrażanie się starszym bratem było niestety mało skutecznym zabiegiem. Jak szybko następowały ataki – tak również błyskawicznie czerwone berety ustępowali pola.

Nasz kurnik służył również innym celom. Urządzałem w nim koncerty i występy artystów. W jednej z desek była dziura po sęku. Przykleiłem nad nią wycięty z jakiegoś kolorowego magazynu wizerunek współczesnego radia, w kształcie skrzynki i na niej czarny głośnik w postaci stojącej trąby. Towarzystwo lokowało się wewnątrz twierdzy i wybrany spiker lub artysta nachylał się, nad dziurą (od strony zewnętrznej) i realizował program. Chętnie w tych spektaklach jak i występach uczestniczyłyby dziewczynki.

Gdy już mowa o „sztuce" – niezapomniane wrażenia przeżywałem zabierany przez moich rodziców do kina. Mieściło się ono na rogu jednej z przecznic ulicy 3 Maja. Właściwie to najbardziej utkwił mi w pamięci sławny film niemy „Tarzan wśród małp". Na migotliwym ekranie przedstawiano los porzuconego w Afryce niemowlęcia, notabene, syna lorda angielskiego. Znajduje go w dżungli i wychowuje tam stado małp. Najlepiej zapamiętałem jednak skoki z liany na lianę Tarzana, jako już dorosłego i muskularnie zbudowanego mężczyzny. Obok ekranu stało pianino, na którym w trakcie seansu grała jakaś pani w długiej czarnej sukni.

Do niemiłych wspomnień muszę zaliczyć wizyty u dentystki pani Dobrowolskiej. Tak się tego bałem, że za każdym razem, gdy matka brała mnie do miasta, bacznie obserwowałem, czy aby nie idziemy w kierunku, który mógł zwiastować ponowną wizytę. Jeszcze większy strach niż dentystka, wywoływała straż pożarna swą przeraźliwą syreną alarmową. Powiadamiała ona mieszkańców miasta o wybuchu pożaru. Ryk nocny tej syreny był dla mnie przerażający Wyskakiwałem natychmiast z łóżka i szukałem schronienia w objęciach matki. Tu już nie obchodziły mnie żadne pożary, ani porykiwania syren. Tylko rano byłem zwykle zaskoczony, gdy budziłem się znów na swoim posłaniu.

W kuchni i na podworcu królowała niepodzielnie Hanka Mirończuk, nasza gospodyni, nadzwyczaj oddana naszej rodzinie a moja opiekunka chyba od urodzenia. To ona zajmowała się sprawami kuchni, sprzątaniem i zakupami. Prace cięższe jak: noszenie drzewa, palenie w piecach, opieka nad inwentarzem należała do Janka. Niestety nie utkwiło mi w pamięci jego nazwisko. Był on sierotą wojennym, który po wojnie znalazł się w jakimś domu opieki w Brześciu. Rodzice zaopiekowali się chłopcem. Postury dość charakterystycznej: niski, krępy, o rysach twarzy jakby nieco tatarskich. Początkowo nie było wiadomo, skąd pochodzi, jednak poszukiwania mojego ojca zakończyły się powodzeniem. Był synem zamożnych gospodarzy z osiedla kolonistów polskich na głębokim Polesiu. Rodzice zostali zamordowani podczas rewolucji bolszewickiej a on jedyny ocalał. Gdy opuszczaliśmy Brześć w 1932 roku i ruszał nasz pociąg, na peronie stał nasz Janek, czapkę ściskał w rękach i płakał jak bóbr. Miał załatwione »»»



»»» wszystkie formalności powrotu na swą ojcowiznę. Co się z nim potem stało po 1939 roku niewiadomo.

Janek oczywiście opiekował się koniem i powoził bryczką. Pamiętam zabawną sytuację, jaką podpatrzyłem przed stajnią, Janek siedział na naszej klaczy, nawoływaniem i kopaniem w bok, chciał zmusić konia do ruszenia. Ale Karucha uparła się i zupełnie nie reagowała. Gdy Janek nie ustępował, odwróciła łeb i zębami chwyciła go za but i ściągnęła na ziemię.

Przypominam sobie procedurę jaka obowiązywała mnie, jako małego chłopca, gdy o coś prosiłem Hankę. Hanka mówiła do mnie „Niu niu, niu niu poproś ładnie" Był to sygnał, że miałem razem złożyć dłonie i poruszając nimi ładnie poprosić.

Do Hanki przychodził jej brat, żołnierz lokalnej orkiestry wojskowej. Czasami przynosił ze sobą instrument na którym grał, były to talerze orkiestrowe. Zauważyłem, że te talerze nie miały gładkich brzegów W kilku miejscach na obrzeżu były dość głęboko wycięte. Na moje pytanie – brat Hanki wyjaśnił – gdy talerz pęknie, traci dźwięk. Aby temu przeciwdziałać konieczne jest usuniecie strefy uszkodzenia Było to namacalnym dowodem, jak ubogie wówczas było wojsko, że nawet brakowało pieniędzy na kupno nowych instrumentów dla orkiestry.

W pokoju stołowym przy oknie stał fortepian moje matki. Obok na etażerce leżał plik nut i to zarówno utworów poważnych jak i rozrywkowych, Bardzo lubiłem słuchać gry mojej mamy a szczególnie, gdy podniosło się wieko fortepianu, wówczas dźwięki były zdecydowanie pełniejsze i jakby piękniejsze. Nie byłem zmuszany do nauki gry na tym instrumencie. Prawdopodobnie było to rezultatem prób nauki gry na fortepianie mego starszego brata. Nauczycielka sama zrezygnowała, gdy podczas lekcji, za namową brata, Janek właził pod fortepian i szczypał nauczycielkę po nogach.

W mych „szczenięcych latach" otrzymałem kilka harmonijek ustnych, ale próby wygrania najprostszych melodii były bezowocne. Kiedyś na imieniny dostałem prawdziwą harmonię ręczną, wprawdzie małych rozmiarów ale z miechem i odpowiednią klawiaturą. Również na tym instrumencie nie byłem w stanie nic wygrać. Zabawa z tą dziecięcą „harmoszką" polegała na tym, ze zakradałem się do holów domów cztero rodzinnych i po naciśnięciu wszystkich klawiszy pompowałem miechem ile wlezie. Oczywiście piekielny hałas zmuszał do salwowania się szybką ucieczką.

Któregoś lata z wizytą zjechała do Brześcia bratanica mojej matki Zofia Dudzińska z dziećmi z Warszawy. Byli to dwaj chłopcy, chyba w moim wieku. Jakoś nie pasowali do naszej paczki. Odnosili się do nas z rezerwą, wyraźnie zadzierali nosa. Raziły nas nadto ich wykwintne ubranka. Obaj mieli śnieżno białe bluzy marynarskie i takie same spodeńki. Myśmy nosili podobne ale tylko od święta. Aby pognębić nas ostatecznie – brakowało w ich stroju, jedynie białych rękawiczek. Któregoś dnia bawili się na podwórzu, naturalnie w swych marynarskich strojach. I nagle ta niewinna zabawa zamieniła się w kompletną katastrofę. A winowajcą okazał się nasz Janek. Do jego obowiązków należało codzienne zbieranie pojawiających się „tortów", po naszej Krasuli. Ale Janek – leń – nie pozgarniał szuflą tych placków, a jedynie zasypał je piaskiem. Pech chciał, ze goście do zabawy wybrali właśnie taką „pułapkę", i wręcz błyskawicznie umorusali się w łajnie. Wygląd obu nieszczęśników był naprawdę wspaniały, nie mówiąc już o zapachu. Przyniesiono dużą balię, ustawiono koło studni i odbyło się szorowanie obu gości, a my wokół balii wykonaliśmy taniec zwycięstwa.

Prawie każdego lata wyjeżdżałem na 3-miesięczne wakacje do Krynicy. Ojciec wpadał do nas tylko na parodniowy urlop.

Na deptaku podpatrzyłem fotografa, który dla zachęty małych klientów urzędował tu z kucykiem. I takiego właśnie kuca wymarzyłem sobie. Zamęczałem rodziców, aby spełnili moje pragnienie. Matka chyba aprobowała ten pomysł. U nas w Brześciu warunki pozwalały na trzymanie



Ja z Ojcem w Krynicy w 1930 r.

tego dodatkowego miniaturowego konika. Ojciec początkowo był niezdecydowany i to budziło moje nadzieje. Jednak ostatecznie kategorycznie odmówił, tłumacząc, że byłoby to nie na miejscu, gdybym ja jako jedyne dziecko na kolonii posiadał własnego wierzchowca. Uznał to za skrajnie nie pedagogiczne.

Wszyscy chłopcy zbierali wówczas znaczki pocztowe. Mój zbiór był nad wyraz skromny i jak sobie przypominam liczył mniej niż sto znaczków. Kiedyś do rodziców przyszedł list od ich przyjaciela kapitana Daru Pomorza Konstantego Maciejewicza aż z Mauritiusa, dalekiej wyspy na Oceanie Indyjskim. Naturalnie wspaniały znaczek z tej egzotycznej wyspy stał się ozdobą mojej jakże skromnej kolekcji. Jakimś cudem utkwiły mi w pamięci moje małe, kolorowe znaczki brazylijskie z wysoką kolumną, z jakimś symbolem na szczycie. Okazało się, że nie tylko chłopcy z kolonii urzędniczej zbierali znaczki. W jednym z dużych budynków w mieszkanku mansardowym mieszkał starszy pan Tyszkiewicz, który kiedyś pokazał mi swój zbiór. Była to dla mnie kolekcja nieosiągalnych marzeń. Zapamiętałem niektóre ze znaczków polskich tej kolekcji, a wśród nich pierwszy znaczek lotniczy polski. Natrafiłem na niego później, w rzeczywistości był to znaczek wydany w Poznaniu przez prywatną organizację lotniczą.

Gdy już mowa o awiacji, to jadąc drogą na północ z Brześcia w kierunki Żabinki, mijało się polowe lotnisko wojskowe, gdzie stacjonowały wielkie płatowce Junkers-Fokkera z poniemieckiego demobilu wojennego.

Często na naszą ulicę zajeżdżały tankietki. Były to małe opancerzone pojazdy gąsiennicowe z obrotową wieżą, wyposażoną w karabin maszynowy. Załogę stanowiło dwóch żołnierzy. Wejście do pojazdu było od tylu. Prawdopodobnie załoga pojazdu składała wizyty swym najdroższym z naszej ulicy.

Ojciec skupywał kolorowe pocztówki, głównie malarstwa polskiego, a również – jeżeli się trafiły i rosyjskiego. Kolekcja ta składała się z kilkuset egzemplarzy. Miałem zawsze swobodny do niej dostęp. Obecnie rozumiem tą mądrą strategię wyrabiania w dziecku dobrego smaku i zamiłowania do sztuki. Podobną rolę spełniły kupowane mi szkicowniki i różnorodne kolorowe kredki. Dostawałem popularne wówczas „zeszyciki do wycinanek" z kolorowymi kartami podlepionymi lejem. Można było wycinać z nich nożyczkami poszczególne elementy kolorowe kompozycji i naklejać na karton lub papier szkicownika. Umożliwiało to rozbudzenie u dziecka zamiłowania do własnej interpretacji plastycznej zasłyszanych bajek i realizacji własnych pomysłów.

Rodzice prenumerowali dla mnie „Małe Pisemko", a gdy podrosłem i umiałem już sam czytać, „Moje Pisemko", wydawane przez sławny warszawski dom wydawniczy Marii Arctowej. Były to świetnie redagowane tygodniki dla małych i starszych dzieci, pełne ciekawych opowieści i zdarzeń bieżących. Tam po raz pierwszy zetknąłem się z pisarstwem Janusza Korczaka. Jego „Król Maciuś Pierwszy" drukowany był w odcinkach. Jednak szczególny mój zachwyt budziła również drukowana w „Moim Pisemku" opowieść o psach z małego »»»

»»» miasteczka, nosiła tytuł „Puc, Bursztyn i Goście", autorem jej był Jan Grabowski. Sądząc z treści musiała to być druga część nieznanych mi „Przygód Reksia".

Zwykle to ojciec przywoził mi nowe książki z Warszawy. Do najbardziej lubianych i szczęśliwie zachowanych do dzisiaj, zaliczam pisane wierszem i bogato ilustrowane opowiadania: „O Roztrzepanej Wini i Psotnym Józiu" i „Niezwykłą Podróż" E .Wyrobka". Obie w wydaniu Księgarni św. Wojciecha w Poznaniu.

Rodzice prenumerowali pięknie ilustrowany i wydawany wtedy jeszcze w dużym formacie tygodnik poznański „Tęcza". W tym to czasopiśmie, który przychodził pocztą co tydzień w postaci zaadresowanego rulonu, końcówka każdego numeru zawierała drukowane w odcinkach powieści. Mama zachwycona jedną z nich, postanowiła czytać mi ją na glos. W ten sposób poznałem „Szarą Wilczycą" Jamesa Olivera Coorwooda. Teraz razem z mamą wyczekiwaliśmy co tydzień dalszych losów zagubionej w śniegach dalekiej Alaski szarej wilczycy i jej szczeniąt. Kiedyś dostałem od ojca mały globusik, tak, że wiedziałem gdzie odbywa się akcja powieści. Ta pierwsza zasłyszana z ust matki powieść amerykańskiego pisarza rozbudziła we mnie zainteresowanie daleką północą i zachodem Ameryki. W wieku późniejszym poznałem prawie całą twórczość J .O. Coorwooda i dostępną całą Jacka Londona.

Zabawki dostawałem z okazji imienin i specjalnych okoliczności, ale nie miałem ich dużo. Prawie zawsze z powrotem ojca z Warszawy oczekiwałem jakiegoś prezentu – i niekiedy intuicja mnie nie zawodziła. Tak więc posiadałem twierdzę wykonaną z dykty i drzewa. Mury miała białe, flanki na wieżach czerwone a bramę pomalowaną na brunatno. Otwory okienne zaznaczone były na czarno. Podstawa była oczywiście zielona, gdyż imitowała wzgórze porosłe trawą. Była to konstrukcja o kształcie półkolistym. Fortecę flankowały dwie wieże a z frontu była otwierana brama z obustronnymi bastionami. Forteca była wystarczającej wielkości, aby nasze kolejne koty chętnie w niej sypiały. Dostałem również kolej drewnianą, składającą się z lokomotywy z tendrem i jednym wagonem osobowym i towarowym. Kolejka była sporych rozmiarów, jednak wraz z twierdzą mieściła się na dużej trójdzielnej szafie w pokoju sypialnym. Zawsze do moich obowiązków należało układanie zabawek we właściwym miejscu po zakończeniu zabawy. Kilkakrotnie dostawałem również kolejki metalowe z zestawami torów. Lokomotywy napędzane były sprężynami, ale nie wiem – czy to pech, czy tandetne wykonawstwo tych kolejek – po kilku dniach zabawy pękały te sprężyny i było już po zabawie. Miałem też czerwone autko ciężarowe drewniane. Bawiłem się nim głównie w ogrodzie. Zabawki te po latach przekazałem chłopcu, adoptowanemu przez moją ciotkę Jasię z Wołożyna. Również doskonale nadawał się do zabaw taboret od fortepianu. Miał trzy wygięte nogi i śrubowo podnoszone okrągłe siedzisko. Kładłem taboret bokiem na podłodze i siadałem na jego części centralnej a rękami kręciłem siedziskiem. W ten sposób można było obracać się w prawo lub lewo. Taboret imitował wówczas samochód. Bardzo lubiłem tą zabawę.

Z zabaw domowych lubiłem grę zręcznościową o nazwie „bierki". To zestaw kilkudziesięciu (chyba około 40) patyczków drewnianych, zakończonych jakby haczykiem, czyli bosaków, pięciu wioseł i jednego harpuna, z dwustronnym grotem. Gracz obejmował ręką cały zestaw pałeczek i trzymając dłoń opartą o stół szybko otwierał ją i cofał rękę. Bierki powinny się rozsypywać na stole, układając stos wzajemnie stykających się patyczków. Wtedy grający przystępował do kolejnego zdejmowania ze stosu poszczególnych elementów. Ruszenie któregokolwiek z pozostałych patyczków stosu powodowało spalenie zawodnika. Liczyło się tylko poprawnie usunięte pałeczki. Najniżej, po jednym punkcie wycenione były żółte bosaki, czerwone wiosła liczono po 5, a najwyżej wyceniany był czarny harpun. Miał on wartość 20 punktów. Bierki były

moją ulubioną zabawą towarzyską. Świetnie ćwiczyły koncentrację, cierpliwość oraz koordynację ruchów. Miałem również grę „Chińczyka" oraz jakąś grę, gdzie było mnóstwo kolorowych celuloidowych krążków, ale nie pamiętam na czym to polegało.

Szczególnie w zimowe wieczory rozstawiałem na stole w pokoju stołowym moich żołnierzy ołowianych. Dostawałem najrozmaitsze rodzaje żołnierzyków, reprezentujących róże armie świata i amerykańskich Indian. Byli wśród żołnierzy zarówno husarze jak i ułani na koniach. Zabawne było, gdyż koń miał dziurkę gdzie siodło a jeździec między szeroko rozstawionymi nogami szpic, który wchodził w ten otwór. W ten sposób ołowiany husarz nie spadał z konia. Miałem również i małe armatki. Do luf wpychało się zapałką ładunek w postaci jakby kartonowego serdelka z lontem. Armatka miała otworek na miejscu zamka i po umieszczeniu ładunku lont wystawał z otworka. Po jego podpaleniu armatka głośno strzelała a z lufy wydobywało się trochę dymu.

Nie posiadałem nigdy konia na biegunach. Tylko podczas wizyt u Cioci Jadzi w Krakowie, bujałem się na dość już sfatygowanym, ale jeszcze sprawnym koniu prawie dorosłego Jasia.

Zupełnie już zapomnianą i nieznaną dziś, była zabawa dzieci z naszej kolonii przy pomocy fajerek żeliwnych i kawałka odpowiednio ukształtowanego mocnego drutu. Była to ogromnie popularna i lubiana „jazda z fajerką". Do tej jazdy potrzebna była jedna z większych fajerek z płyty żeliwnej z nad paleniska kuchennego. Naturalnie zabawa ta mogła się odbywać jedynie na dworze i tylko tam, gdzie podłoże było twarde i stosunkowo gładkie. Popychało się ręką fajerkę do przodu i równocześnie podpierało ją i pchało do przodu mocnym drutem, wygiętym u dołu w kształcie litery U. Wymagało to pewnej wprawy, ale wszyscy chłopcy doskonale to umieli. Nie pamiętam, być może tą zabawę nazywaliśmy „jazdą tramwajem".

Do ogólnie uwielbianej zabawy należało strzelanie z procy do celu. Chłopcy sami sporządzali sobie to dość proste urządzenie. Trzeba było scyzorykiem wyciąć gałązkę, najlepiej olszyny, rozgałęzioną w postaci litery Y. Na obu końcach widełek przywiązywało się mocne dwie gumy, które w środku mocowało się do prostokąta ze skóry. Najlepiej strzelało się małymi kamykami, grochem lub fasolą. Na szczęście jakoś nikt nie wpadł na pomysł strzelania z procy ołowianym śrutem. Nie słyszałem aby dzieci z naszego osiedla strzelały z procy do ptaków.

Jakoś tak pod koniec naszego pobytu w Brześciu, ojciec miał chyba dwutygodniowe zwolnienie lekarskie. Widoczne było, że się nudzi. Wpadł jednak na pomysł, aby ten wolny czas wykorzystać na budowę latawca. W tym celu zgromadził odpowiednie materiały, w postaci mocnego papieru japońskiego, odpowiednich listewek drewnianych oraz kleju, no i oczywiście dużego mocnego kłębka sznurka. Skonstruowany przez ojca latawiec był dużych rozmiarów, chyba 100 na 80 cm, miał kształt prostokąta, oklejony był białym papierem a na środku miał czerwone kolo, tak jakby reprezentował flagę japońską. Na górnym, węższym, końcu płat latawca został lekko wygięty naciągającym sznurkiem. Na ten naciąg ojciec nalepił kawałek papieru japońskiego w postaci skrzydełka. Po odpowiednim zamocowaniu sznurka mocującego i zapleceniu go wokół drewnianego kołka, ojciec i ja oraz kilku moich kolegów poszliśmy na łąkę obok domu, gdzie nastąpiła generalna próba latawca. Okazało się, że prawie natychmiast uniósł się wysoko w powietrze; mało tego – wspaniale furkotał dolepionym skrzydełkiem – i nadto zakładało się na sznurek okrągłe kawałki papieru z otworem w środku – można było w ten sposób wysyłać „depesze" do latawca. Nigdy ojciec nie przyznał się skąd tak dobrze znał się na budowaniu latawców, może to było doświadczenie z jego lat dziecięcych?

W naszym domu ważną rolę odgrywała Mucha, biały foksterier z czarnymi łatkami. Była to ulubienica mojej mamy. Do nas dzieci odnosiła się z niechęcią, »»»

»»» czasami szczerzyła do mnie zęby. Może to wynikało z tego, że jak się ją celowo złościło – reagowała w dość zaskakujący sposób; z zapamiętałą wściekłością zaczynała gryźć się w resztkę uciętego ogona i jak opętana kręciła się w kółko. Ciekawe, że jakoś nigdy nie było widać nawet najdrobniejszych śladów krwi na tak postponowanym szczątku ogona. Nie do pomyślenia było wzięcie Muchy na ręce. Mogła to zrobić wyłącznie matka. Dlatego piesek ten nie pozostawił we mnie miłych wspomnień.

Ale był w Brześciu i pies, którego po prostu bałem się. Był to czarny duży doberman. Pies należał do miejscowego proboszcza Kazimierza Bukraby, który wyprowadzał go na łąki i nieużytki za naszym domem. Kilka razy psisko wpadło na podwórze; któregoś dnia podbiegło do mnie, stanęło na tylnych łapach, a przednie wsparło na moich ramionach. Wystraszyłem się wtedy ogromnie i od tego czasu unikałem go jak ognia.

Święta Bożego Narodzenia w moim domu rodzinnym były zawsze dla mnie wielkim wydarzeniem i przeżyciem. Do stołu siadali wszyscy domownicy i ewentualni zaproszeni goście; pozostawiano zawsze tradycyjne wolne jedno miejsce. Wilia, jak u nas nazywano wieczerzę wigilijną, składała się z barszczu czerwonego z uszkami i zupy grzybowej z łazankami. Potrawy z grzybów przyrządzano wyłącznie z wonnych suszonych prawdziwków poleskich. Później podawano karpia w szarym sosie na słodko z rodzynkami i migdałami.

Ja zaś oczekiwałem na ulubionego karpia smażonego; dzwonka ryby, otaczano jedynie mąką i smażono w głębokiej fryturze, dzięki temu skórka była chrupiąca i wspaniałego smaku. Z ryb jedliśmy jeszcze szczupaka po polsku, posypanego siekanym jajkiem i obłożonego plasterkami cytryny; do ryby podawano sosjerkę z topionym masłem. Szczupaka wykładano w całości na długi półmisek.

Na deser zawsze były: kompot z suszonych owoców, strucle z makiem i marmoladą oraz bakalie. Nie przypominam sobie, aby na stole wigilijnym pojawiał się alkohol; po prostu nie było takiego zwyczaju w naszym domu.

Szczególne moje zainteresowanie budziły bakalie, które matka gromadziła przed Świętami w specjalnie w tym celu opróżnianej głębokiej szufladzie biedermeierowskiego sekretarzyka. W skład mieszanki wchodziły takie rarytasy jak: orzechy włoskie i laskowe, orzeszki ziemne i orzechy brazylijskie (nazywane wtedy „amerykańskimi"). W skład „bakalii" wchodziły również suszone figi, różnego rodzaju pierniczki lukrowane i w czekoladzie oraz cukierki i czekoladki; najwspanialsze były w kształcie buteleczek z rumem w środku. Trudno mi obecnie powiedzieć, czy dostęp do tej „zaczarowanej szuflady" był nieskrępowany. Dla mnie nie to było wtedy najważniejsze – z ciekawością i narastającą niecierpliwością zerkałem na szczelnie zamknięte drzwi od gabinetu ojca; stała tam zawsze wspaniale przybrana choinka, a pod nią – wyśnione prezenty.

Po przejściu do gabinetu zapalano na choince kolorowe świeczki woskowe i zimne ognie. Po rozdaniu prezentów, matka siadała do fortepianu i rozpoczynało się śpiewanie kolęd.

Gdy z gabinetu ojca usłyszało się podejrzany hałas; oznaczało to, że to nasza Mucha łasowała cukierki z choinki. Naturalnie udawała, że to nie ona była sprawczynią hałasu. Papierek opakowania, sterczący z pyska, zradzał popełnione przestępstwo.

Rodzice prowadzili w Brześciu dość żywe życie towarzyskie. Między innymi bywali i przyjmowali u siebie państwa Muszyńskich. On był inżynierem i zajmował jakieś stanowisko dyrektorskie w starostwie brzeskim. Mieszkali w budynku, tuż obok Klubu Urzędniczego na sąsiedniej ulicy. Matka żony Muszyńskiego była Rosjanką i nie mówiła po polsku, co starali się oni na wszelki sposób ukryć. Dlatego na przyjęciach – starsza pani była skrzętnie usuwana z oczu zaproszonych gości. Wywoływało to oburzenie rodziców a ze strony mojej matki uczucie ogromnej sympatii i chęci pomocy. Zapraszała do siebie matkę pani Muszyńskiej, częstowała herbatą i słodyczami i okazywała jej

ogromną sympatię i przyjaźń. Dobrze zapamiętałem scenę, gdy pani Tatiana przyszła do nas zimą i na rękach miała jakieś cienkie białe niciane rękawiczki. Natychmiast matka to zauważyła i usilnie chciała ofiarować jej swoje nowe elegancki ocieplane rękawiczki skórkowe. Nie pamiętam, jak skończyła się ta wizyta, ale intencja mojej mamy – mimo że byłem jeszcze dzieckiem – były dla mnie jak najbardziej zrozumiała.

Z początkiem lat trzydziestych byłem z mamą z wizytą u wujostwa Famińskich na Święta Wielkanocne w Wołożynie na Wileńszczyźnie. Jechaliśmy przez zaśnieżoną północno – wschodnią Polskę do Lidy, gdzie była przesiadka. Mama zatrzymała się w hoteliku żydowskim. Wielki nieco staroświecki pokój był chyba na pierwszym piętrze. Gdy już byłem w pokoju, nagle wjechał do niego synek gospodyni na wspanialej dziecięcej drezynie. Boże! on ma taki wspaniały wehikuł a ja w Brześciu kręcę się w kółko na „aucie" z fortepianowego taboretu. Niestety, ku mojemu niezadowoleniu, nie udało mi się popróbować tej drezyny; matka delikatnie wyprosiła właścicielkę – tłumacząc się zmęczeniem podróżą.

Na drugi dzień rano byłem z matką w lokalnej cukierni. Pamiętam bufet zastawiony koronkowo lukrowanymi sękaczami, które były specjalnością kuchni kresowej.

Ojciec zawsze zamawiał sękacz (zwany popularnie baumkuchenem) na Stół Wielkanocny w Kobryniu, gdzie cukiernicy specjalizowali się w ich wypieku.

Tego samego dnia pojechaliśmy koleją dalej; droga prowadziła przez zasypane śniegiem pola i lasy, pełne tropów zajęczych. W końcu dojechaliśmy do celu, czyli do stacji w Horodzkach. Stamtąd do Wołożyna jechało się sankami ponad 20 kilometrów. Był ostry mróz i sanna była wspaniała. Ubrano nas w wielkie szuby z wilczego futra.

Mieszkanie u wujostwa było na terenie szpitala i co mnie napawało paniką – za oknem mojego pokoju była o zgrozo! – kostnica szpitalna. Wuj Famiński był chirurgiem i gdy już mieszaliśmy w Krakowie, przyjeżdżał co roku na staż kliniczny. Podczas tych pobytów odbywały się niezapomniane spotkania; wuj niesłychanie barwnie i z ogromną swadą opowiadał o swym burzliwym i pełnym przygód życiu w Rosji. Był z pochodzenia moskwiczaninem i do Polski dostał się wraz z armią bolszewicką w latach dwudziestych. Był to pan bardzo przystojny, postawny, zamiłowany myśliwy i jak nadmieniłem urokliwy gawędziarz. Wujostwo posiadali samochód produkcji francuskiej i szofera, co na ówczesne czasy było nie lada luksusem. Zapamiętałem z opowiadań wuja jeden szczegół dotyczący jego praktyki lekarskiej. Otóż na Kresach w bezpośrednim sąsiedztwie sowieckiej granicy był zwyczaj, że lekarzowi płacono za wizyty złotymi monetami carskimi, tzw. złotymi rublówkami. (...)

Zupełnie nie oczekiwana tragedia dotknęła naszą rodzinę w październiku 1928 roku. Nagle ciężko zaniemógł mój nieco starszy brat, ośmioletni Janusz i po bardzo krótkiej chorobie zmarł tego samego miesiąca. Był to straszny wstrząs dla rodziców, a szczególnie matki, która była wręcz na granicy obłędu. Ojciec, prawdopodobnie za namową przyjaciółki mamy pani Janiny Ursyn Niemcewicz, zadecydował, że należy matkę wywieźć z Brześcia – gdzie każdy zakątek naszego mieszkania przypominał jej ukochane zmarłe dziecko. Pani Janina zaproponowała zabranie matki do siebie do pobliskich Skoków. Ja oczywiście miałem jej towarzyszyć a starszy brat Ryszard miał jechać również z nami i codziennie dojeżdżać konno do gimnazjum w Brześciu (zaledwie 6 – 7 kilometrów).

Pamiętam nocną jazdę otwartym samochodem przez długą aleję drzew, oświetloną reflektorami samochodu. Była to chyba szosa w pobliżu Skoków.

Rodowa siedziba Niemcewiczów w Skokach była wzniesiona w 1770 roku przez Marcelego, ojca sławnego poety, pisarza i polityka Juliana. Był to budynek murowany, jednopiętrowy, z przyległymi po bokach, cofniętymi wieżami, w których znajdowały się alkierze. Od frontu i strony ogrodowej »»»

»»» pałac miał identyczne portyki z balkonami, wsparte na filarach. Sklepione pokoje parteru służyły celom mieszkalnym, a na piętrze znajdowały się pomieszczenia reprezentacyjne a w tym obszerna sala balowa z balkonem dla orkiestry. Pałac otaczał piękny park w zakolu rzeki Leśnej.

Mężem pani Janiny był Stanisław Niemcewicz, również zaprzyjaźniony z mym ojcem. Znajomość ta nawiązała się po niecodziennym wydarzeniu – w połowie lat dwudziestych pałac podpalił jakiś wędrowny żebrak, któremu odmówiono obiadu. Spłonął wówczas jedynie dach. Mój ojciec, jako architekt, zaprojektował nową konstrukcję dachową i następnie kierował jej odbudową.

Trudno mi teraz ustalić, jak długo przebywaliśmy w Skokach. Ja bawiłem się z młodszym ode mnie o rok Elkiem synkiem pani Janiny. Kiedyś wieczorem zaciągnął mnie w sposób sekretny do jednego z dalszych pokoi, gdzie w kołysce spała jego mała siostrzyczka Marysia. Rozejrzał się przebiegle, czy aby nikt nas nie podgląda. Wyrwał niemowlęciu smoczek z buzi i zaczął namiętnie go ssać a następnie w drodze wyróżnienia podał mi go również do possania. Byłem tak zaskoczony propozycją, że uciekłem z sypialni, pozostawiając na miejscu zdziwionego Elka ze smokiem w łapie.

Na folwarku, przynależnym do Skoków, gospodarował Alfred Pilecki, mąż siostry pani Janiny – Zofii. Któregoś roku zostaliśmy zaproszeni na uroczyste dożynki. Przed dworem poustawiane były stoły, wręcz uginały się pod stosami placka ze śliwkami. Zapamiętałem tłum ludzi wokół stołów, ale najzabawniejszy – a dla mnie raczej groźny – był widok tysięcy os latających i lądujących na tych słodkościach. Według niedawno uzyskanych informacji, zapraszający gospodarz został zamordowany w 1939 roku. (...)

Jak byłem ubierany przez matkę gdy byłem mały? – naprawdę to trudne pytanie, ale zostało trochę zdjęć z okresu brzeskiego, jednak ich większość była wykonana przez zawodowych fotografów w Krynicy.

Przypominam sobie wieczorne przyjęcie dla gości u nas w domu w Brześciu. Siedziałem przy stole i głównym moim zmartwieniem były czarne długie pończochy, które w sposób najwyraźniej złośliwy nieustannie wyłaziły mi z przykrótkich nogawek spodenek i ostentacyjnie odsłaniały goliznę moich nóg. Przecież pończochy były przypięte do stanika.

Starałem się ratować sytuację i wpychałem pończochy z powrotem do nogawek – ale bez skutku. Gdy robiło się ciepło, chodziłem i biegałem po dworze jedynie w krótkich skarpetkach i sandałach. Natomiast na zimę kupowano mi gumowe kalosze. Były czarne z błyszczącej gumy na wierzchu, wyłożone wewnątrz ciemno fioletowym kutnerem. Miały one niespotykane też dziś zamknięcie, z przodu, z prawej strony znajdowała się metalowa drabinka a z lewej łamane zawiasowo zamknięcie. W zależności od potrzeb wybierało się odpowiedni otwór drabinki i wsadzało się do niego koniec zamknięcia. W tak zabawny sposób dawniej regulowało się zapinanie kaloszy, sięgających powyżej kostek.

Mam wrażenie, że sprawiano mi tylko rzeczy konieczne i praktyczne, ale w dobrej jakości.

W Krynicy biegałem w koszulce z krótkimi rękawami i krótkich spodeńkach, na głowie miałem granatowy beret, lub chodziłem z gołą głową. Miałem dość krótki sweterek wełniany w poziome paski oraz płaszczyk z popielatego tweedu; miał dwa rzędy guzików i sięgał mi nieco poniżej kolan. Na lato nosiłem na nogach krótkie skarpetki i sandały zapinane na pasek.

W Brześciu mój najstarszy brat Ryszard chodził do państwowego gimnazjum koedukacyjnego im. Romualda Traugutta. Mieściło się przy ul. Mickiewicza, niedaleko dworca kolejowego i placu targowego. Był to stary rosyjski budynek piętrowy z przestronnymi wewnętrznymi korytarzami. Zabierała mnie tam czasami matka, gdy miała do załatwienia jakieś sprawy szkolne brata. Zapamiętałem dobrze salę teatralną, z wierną kopią kurtyny Henryka Siemiradzkiego z teatru im. Słowackiego w Krakowie. Kopię tą wykonał tutejszy profesor rysunków Ćwikiewicz.



Ryszard, Bohdan i Janusz, Brześć 1925 r.



Bohdan, Hanka, Jan (Joczek) i Ryszard Nielubowicze, Brześć 1928 r;



Moja Matka Leokadia z domu Krassowska z Januszem i Bohdanem w 1927 roku

Ale chyba głównym powodem zapamiętania tej salki było przedstawienie szkolne, na które były zaproszone rodziny aktorów i ich kolegów. Grali sami uczniowie i uczennice. Sztuką była 19-to wieczna farsa angielskiego autora Thomasa Bardona, o zaskakującym tytule: „Ciotka Karola skąd małpy pochodzą". Według mojej obecnej wiedzy – było to „uśmiesznienie" oryginalnego tytułu, który w rzeczywistości brzmi: „Ciotka Karola z Brazylii skąd sprowadzamy orzechy". Brat nie brał udziału w przedstawieniu, ale bohater farsy, młody arystokrata z Oxfordu, przebrany za Ciotkę Karola, był dobrze mi znanym kolegą brata.

W klasie przedmaturalnej koleżanką brata była córka byłego wojewody poleskiego Krystyna Krahelska, która w 1937 roku pozowała rzeźbiarce Ludwice Nitschowej do pomnika Syrenki Warszawskiej. Podczas wojny działała w konspiracji, i zginęła w 1944 roku w Powstaniu Warszawskim. Była autorką pieśni i wierszy, a w tym m.in. sławnej: „Hej chłopcy, bagnet na broń".

SZKOŁA ROLNICZA W PLANCIE POWIATU KOBRYŃSKIEGO (LATA 1927-1939)

Niedawno na antenie brzeskiego radia był nadany przygotowany przeze mnie program radiowy o państwowej szkole rolniczej, która znajdowała się w Duboji, powiat Piński, o szkole, która szkoliła prawdziwych gospodarzy ziemi dla pracy we własnym gospodarstwie. Lecz ten temat nie jest i w połowie zilustrowany bez opowieści o Państwowej Szkole Rolniczej-żeńskiej, która znajdowała się w wiosce Planta powiatu Kobryńskiego województwa Poleskiego.



Budenek szkolny w Plancie.

Szkoła ta otworzyła swoje drzwi w roku 1927 i istniała do września 1939.

Do szkoły przyjmowani byli uczniowie w wieku 16-24 lata, którzy mieli przynajmniej wykształcenie podstawowe. Chętnych uczyć się w tej szkole nigdy nie brakowało. Prawie co roku na każde wolne miesce było kilka chętnych osób.

Nauka w szkole była bezpłatna. Płaciło się tylko za utrzymanie w internacie szkolnym. Uczniowie szkoły otrzymywali stypendium w wysokości średnio około 30 złotych miesięcznie. Opłata za internat wynosiła 20 złotych.

Nauczanie zaczynało się 15 października i kończyło się 15 września, w sumie 11 miesięcy.

Kurs nauczania składał się z następujących działów:

- Rolnictwo, hodowla i mleczarstwo
- Ogrodnictwo i pszczelnictwo

- Roboty ręczne: tkactwo, szycie i haft.
- Gospodarstwo domowe: gotowanie, pieczenie, porządki domowe, pranie, prowadzenie spiżarni
- Utrzymanie zdrowia
- Przedmioty

Wykładowcy, którzy chcieli pracować w szkole, też byli przyjmowani na podstawie konkursu.

Jeden z wykładowców określił główne zadanie szkoły następująco: *„...przez pracę rąk przekazać młodzieży konkretną wiedzę, z której będzie mogła korzystać w życiu codziennym na wsi; wiedzy i umiejętności, które nie przekształcają się w zawód ucznia, lecz ułatwiają jego życie i pracę w gospodarstwie oraz odciągają go od okropnego przyzwyczajenia do bezczynności.*

Praca ręczna, – mówił on, – robiona racjonalnie i systematycznie powoduje żywe zainteresowanie samą pracą. Przy sprawnym kierowaniu to zainteresowanie powinno wyrosnąć w zamiłowanie do pracy, którego zazwyczaj nie mamy ...”

Dla przyswojenia programu nauczania niezbędne było przyłożenie maksimum wysiłku.

Plan dnia uczniów wyglądał następująco:

5.30 – pobudka
5.45 – modlitwa
6 – 6.15 – gimnastyka
6.15 – 7.15 – robienie porządków
7.15 – śniadanie
8 – 10.35 – lekcje
10.45 – 12.15 – zajęcia praktyczne
12.30 – 14 – obiad
14 – 16.45 – samodzielne przygotowania
16.45 – podwieczorek
17 – 19.30 – zajęcia praktyczne
19.30 – kolacja
20.30 – modlitwa

W archiwach „Kuratorium Brzeskiego okręgu szkolnego” znajduje się sprawozdanie inspektora wojewódzkiego oddziału gospodarki rolnej o kontroli Państwowej Szkole Rolniczej żeńskiej w w. Plancie powiatu Kobryńskiego przeprowadzonej w 1932 roku.

W tym sprawozdaniu znajdują się informacje o tym, że gospodarka szkoły składała się z 1,7 ha żyta oryginalnego, 1,6 ha przenicy rodzaju „Wysokolitewska”, 1,5 ha czerwonej koniczyny, 0,5 ha buraków „Echinodorf”, 400 m2 marchwi gatunku „ziemiogłówka”, 5550 m2 kapusty brukselskiej, 500 m2 kapusty białej, około 3 ha sztucznych pastwisk i łąk. Pielenie wszystkich siewów robione było ręcznie.

W gospodarstwie były 3 konie, 6 krów, 5 świń i 10 prosiąt, 101 kura „zielononoga”, 23 kaczki „pekinki”, 8 gęsi pomorskich, 2 indyki „Mammunt”.

Sad obejmował 120 jabłoni, 40 grusz, 15 czereśni, 15 wiśni, 4 morele, 2 orzechy włoskie i 16 morw.

1932 roku w ramach promocji miejscowej ludności sprzedano 20 kwintali żyta, 25 kg nasion buraków, 5 kg kukurydzy, 2 kg nasion warzyw, 2 kg nasion kwiatów, 19 prosiąt, 250 sztuk jaj kurzych, 14 kaczych i 20 gęsich.

Uczniowie szkoły nie tylko sprzedawali rolnikom nadmiar produktów ze swojej doświadczalnej działki ale też dzielili się swoją wiedzą, rozmawiając z nimi lub czasem czytając im wykłady.

Mimo bardzo napiętego planu dnia był czas i na organizację świąt, takich jak święto czystych ogródków, dożynki, zapusty itd.

Czasem uczennice Plantanskiej szkoły uczestniczyły w wyjazdach wymiany doświadczeń do szkół rolniczych męskich w Duboi powiatu Pińskiego i Torokaniu powiatu Kobryńskiego.

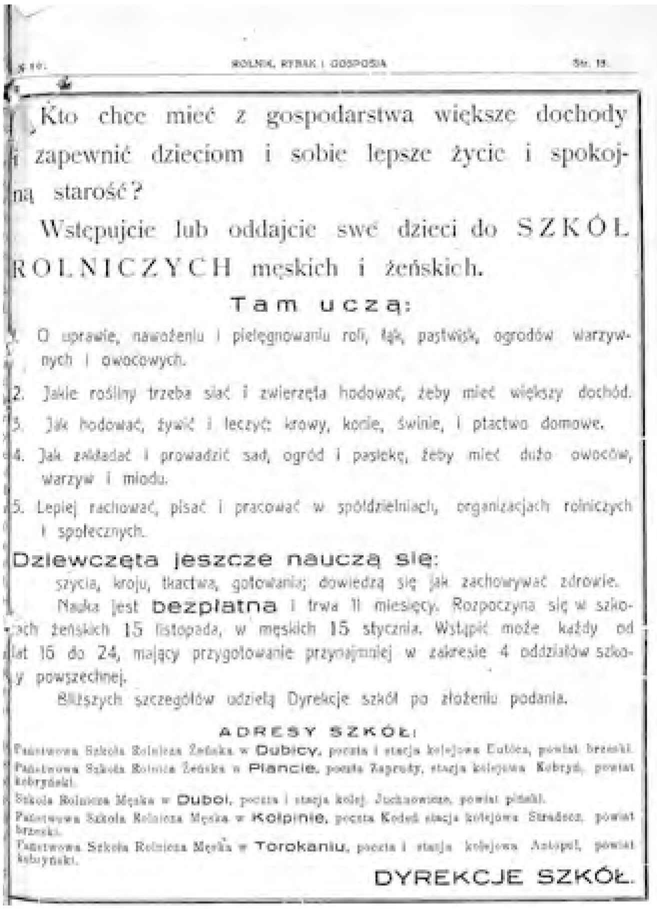
Po ukończeniu szkoły absolwentki w większośći wróciły do domów i pracowaływ swoim gospodarstwie lub u swoich rodziców. Tylko niewielka część szła do pracy do cudzych gospodarstw, gdzie były bardzo chętnie przyjmowane.

W aktach archiwum są informacje, że wychowanki szkół rolniczych na Polesiu organizowali swój związek absolwentów. Ten związek od 1929 roku wydawał magazyn „Rolnik, rybak i gosposia”.



Kilka takich numerów jest przechowywanych w naszym archiwum.

W nich znajdują się zaproszenie na zjazd wychowanków i »»»



Nr. 10. ROLNIK, RYBAK I GOSPOSIA Str. 15.

Kto chce mieć z gospodarstwa większe dochody zapewnić dzieciom i sobie lepsze życie i spokojną starość?

Wstępujcie lub oddajcie swe dzieci do SZKÓŁ ROLNICZYCH męskich i żeńskich.

Tam uczą:

1. O uprawie, nawożeniu i pielęgnowaniu roli, łąk, pastwisk, ogrodów warzywnych i owocowych.
2. Jakie rośliny trzeba siać i zwierzęta hodować, żeby mieć większy dochód.
3. Jak hodować, żywić i leczyć: krowy, konie, świnie, i ptactwo domowe.
4. Jak zakładać i prowadzić sad, ogród i pasiekę, żeby mieć dużo owoców, warzyw i miodu.
5. Lepiej rachować, pisać i pracować w spółdzielniach, organizacjach rolniczych i społecznych.

Dziewczęta jeszcze nauczą się:

szycia, kroju, tkactwa, gotowania; dowiedzą się jak zachowywać zdrowie.

Nauka jest **bezpłatna** i trwa 11 miesięcy. Rozpoczyna się w szkołach żeńskich 15 listopada, w męskich 15 stycznia. Wstąpić może każdy od lat 16 do 24, mający przygotowanie przynajmniej w zakresie 4 oddziałów szkoły powszechnej.

Bliższych szczegółów udzielą Dyrekcje szkół po złożeniu podania.

ADRESY SZKÓŁ:

Państwowa Szkoła Rolnicza Żeńska w **Dubicy**, poczta i stacja kolejowa Dubica, powiat brzeski.
Państwowa Szkoła Rolnicza Żeńska w **Plancie**, poczta Zaprudy, stacja kolejowa Kobryń, powiat kobryński.
Szkoła Rolnicza Męska w **Duboi**, poczta i stacja kolej. Juchnowicze, powiat piński.
Państwowa Szkoła Rolnicza Męska w **Kołpinie**, poczta Kodeń stacja kolejowa Stradecz, powiat brzeski.
Państwowa Szkoła Rolnicza Męska w **Torokaniu**, poczta i stacja kolejowa Antopol, powiat kobryński.

DYREKCJE SZKÓŁ.

»»» dożynki międzyszkolne w Plancie, porady praktyczne, wymiany doświadczeń, opowiadania, wiersze i wiele innych informacji.

W szkolnym magazynie zwrócił moją uwagę hymn napisany przez wychowanki szkoły w 1928 roku. W tym hymnie – miłość do swojej szkoły, i wdzięczność za otrzymaną wiedzę, i smutek , ze wkrótce nastąpi rozstanie.

Może po usłyszeniu tego programu radiowego czy przeczytaniu mojego artykułu ktoś powie, że żyjemy w innych czasach i szkoły przygotowujące gospodynie domowe są nieaktualne. Wielka szkoda, że nie mamy obecnie takich szkół, gdzie dziewczynki uczą nie tylko ogrodnictwa, podstaw weterynarii, księgowości, ale także jak gotować i prowadzić dom, jak być dobrą gospodynią. Przecież dobre gospodyni e są potrzebne i naszych czasach, tak nam brakuje dziś takich Plantanek.

Lidia ROMANOWICZ
Główny archiwista Archiwum Panstwowego obwodu brzeskiego

Z pisma „Rolnik, rybak, gosposia”, organu Związku wychowanków szkół rolniczych na Polesiu Duboja-Kołpin-Planta Nr 3 1930r.

WRAŻENIA Z WYCIECZKI DO BYŁEJ PLANTANKI

W sierpniu udałyśmy się wszystkie z naszemi p.p. nauczycielkami do byłej Plantanki kol.Stasi Turkówny, czcąc zobaczyć jak ona gospodaruje po ukończeniu szkoły. Gospodarstwo naszej Stachy znajduje się w Zaprudach, wioski oddalonej od Planty o 2 km. Szłyśmy wesoło śpiewając . Na polach już pusto, zboże zebrane, a na tle tem nasze pasiaczki wełniane widniały niby długa barwna wstęga. Wreszcie znalazłyśmy się w Zaprudach. Już na wstępie zauważyłyśmy wzorowy porządek, podwórko zamieciono czysto. Ze staropolską gościnnością powitali nas rodzice Stachy i zaprosili do mieszkania.Po krótkim odpoczynku ydałyśmy sie do ogródka. Ogródek warzywny łądny i czysto opielony. Obók domu znajduje się ogródek kwiatowy, ,maleńki, ale pełen pięknych kwiatów. W końcu zaprosiła nas młoda gospodyni na podwieczorek. Wszystko było smaczne: bułeczki, chleb, masło, ser wędliny własne, kwaszone ogórki – wszystko to jej pracy. Jadłyśmy z apetytem i humorem. Wycieczka ta dała nam wiele: każda pragnęła by po powrocie do domu tak zamo urządzić sowją gospodarkę by bez wstydu ją można było w każdej chwili pokazać, a gospodarze inni , widząc jak pracuje młodzież ze szkół rolniczych , będa chętnie wysyłać swoje dzieci na naukę. Wracają, śpiewałyśmy nasz hymn „Nie damy się zwątpieniu ducha” – a cisza wieczorna roznosiła dookoła słowa naszej pieśni i składała je u ***stóp kochanej matki – ziemicy naszej.***

ALICJA GŁUCHOWSKA, PLANTANKA

„Kochana matko – ziemica nasza” ...Jakże tęskno dziś nam za tymi latami przedwojennymi, kiedy ziemia , ziemica była matką, kiedy praca na swojej ziemi była radością, a młodzież rosła w wielkich rodzinach wielopokoleniowych , wychowywana przez starszych w miłości i i szacunku do ziemi, do pracy, do swojej ojczyzny... Już nigdy to nie wróci... Ponad pół wieku nieludzki system sowiecki niszczył gospodarza na naszej ziemi, zabijał miłość i szacunek do niej, ale ona, nasza ziemia, tyle razy gwałcona, poniewierana, osuszana, chroni pamięć o tych gospodarzach przedwojennych, z Polski wolnej i szczęśliwej, którzy mówili do niej „Kochana matko-ziemica nasza”, którzy o świcie wychodzili do pracy z pieśnią naszego ziomka Franciszka Karpińskiego „Kiedy ranne wstają zorze..” – AJ.

WARSZAWSKA SYRENKA RODEM Z POLESIA

2 sierpnia minęła siedemdziesiąta rocznica śmierci Krystyny Krahelskiej, a wcześniej, w marcu – setna rocznica urodzin naszej wybitnej Ziomalki – poetki, harcerki, etnografa, żołnierza Armii Krajowej, uczestniczki Powstania Warszawskiego, autorki jednej z najpopularniejszych piosenek Polski Walczącej "Hej chłopcy, bagnet na broń!".

To nasza Krystyna „dała" swoją twarz Warszawskiej Syrenie.

A było tak..

Prezydent Warszawy Stefan Starzyński, będąc w pracowni wybitnej rzeźbiarki Ludwiki Kraskowskiej-Nitschowej, zachwycił się odlewem dziewczęcej głowy: „jaka to typowa polska uroda, pełna wdzięku, a jednocześnie słowiańskiego charakteru i siły". Idealnie pasowała do wizji bohaterskiej Syreny, która miała zostać symbolem niezłomnej obronności miasta.



O pomniku Syreny mówi sama artystka: *„Wyrzeźbiona przeze mnie twarz Syreny warszawskiej jest twarzą Krystyny zmonumentalizowaną, aby nie było tak łatwo rozpoznać Krysię, chodzącą ulicami, co by Ją może krępowało. Bo chodziła ulicami warszawskimi prosta, wysoka, jaśniejąca uśmiechem wewnętrznej młodzieńczej radości i siły, gotowa na wszystko, co uczciwe, sprawiedliwe i piękne".*

Pomnik stanął nad Wisła w sierpniu 1939 roku.



POLESIE

„Dzieciństwo, dalekie dzieciństwo,
Pachnące lasem bez granic,
Że też ci się tak zeszło prędko
I tak na nic.
Pozostał po tobie zapach
I zimna bosa rosa,
I ciche jesienne noce,
I zima w płonących szczapach.
Ani jednej przeczytanej książki,
Końskie grzywy i bujna swoboda,
O dzieciństwo, dalekie dzieciństwo,
Przepłynięte niby wąska woda."
Krystyna Krahelska

Krystyna Krahelska urodziła się 25 marca 1914 roku w rodzinnym majątku w Mazurkach nad rzeką Szczarą koło Lachowicz. Dziadek Krystyny Aleksander Krahelski byl zesłańcem, uczestnikiem Powstania Styczniowego. Ojciec, Jan Krahelski, inżynier, w latach 1926-1932 pełnił funkcje starosty i wojewody Poleskiego. Matka, Janina Bury, była biologiem. Krystyna Krahelska była bratanicą Wandy Krahelskiej-Filipowiczowej, uczestniczki zamachu w 1906 r. »»»





»»» na Gieorgija Antonowicza Skałona, generał-gubernatora Warszawy. Miała wówczas dziewiętnaście lat

„Krystynę mogłabym nazwać dzieckiem wsi – mówi stryjeczna siostra Halina Krahelska. – Chowała się na wsi do czasu pójścia do szkoły”. Miała w sobie prawdziwy poleski czar – z jednej strony nieśmiała i łagodna, z drugiej zaś silna i odważna. Wysoka, jasnowłosa, o pięknych zielonych oczach Krystyna z całego serca kochała Polesie. „Ona nigdy nie lubiła miasta. Miasto ją męczyło. I jej ciągle było brak zieleni, w wielu jej wierszach z tego okresu ciągle przewijała się ta nuta, by uciec gdzieś, gdzie jest choć trochę drzew”.

W 1926 roku rodzina przeniosła się do Brześcia, gdzie Krystyna rozpoczęła naukę w gimnazjum im.Romualda Traugutta. W Brześciu została członkiem Związku Harcerstwa Polskiego, prowadziła gromadę zuchów. W harcerstwie zdobyła sprawność sanitariuszki.

STUDIA



W 1932 roku zdała maturę i rozpoczęła studia na Wydziale Geografii na Uniwersytecie Warszawskim. Później zmieniła kierunek na Etnografię. Zbierała pieśni ludowe polskie, białoruskie, ukraińskie. Miała silny głos. Występowała w polskim radiu w Wilnie, Warszawie i Baranowiczach. Obroniła pracę dyplomową pod tytułem „Rok obrzędowy w Mazurkach”. Studia były szczęśliwym i plonnym okresem w życiu Krahelskiej – pisała wiersze, śpiewała, rozwijała się również naukowo. Stworzyła oraz opisała makietę poleskiego tańca „Lanok” dla Zakładu Etnografii Polskiej. Makieta zabrana została do Paryża i znajduje się tam do dziś.

TWÓRCZOŚĆ

Od 13 roku życia Krystyna pisze wiersze. Kocha śpiew. Wykonywała nie tylko autentyczne pieśni ludowe, śpiewała również klasyczne arie operowe. W 1938 przez semestr uczy się śpiewu u diwy operowej Heleny Zbroińskiej-Ruszkowskiej w Krakowie.

Jest autorką kultowej piosenki, jednego z symboli Powstania Warszawskiego „Hej chłopcy, bagnet na broń”. Utwór ten został napisany w okresie świąt Bożego Narodzenia, natomiast premiera odbyła się już w 1943 roku w Warszawie na Żoliborzu podczas spotkania konspiracyjnego żołnierzy. Krystyna wykonała tę pieśń wspólnie z przyjaciółką Jasią Krasowską („Jagienka”.) Po koncercie wszyscy powtarzali tekst piosenki, by nauczyć się na pamięć. Tekst pisany mógł być zagrożeniem dla życia posiadającego. Piosenka ta stała się nieoficjalnym hymnem podziemia i harcerstwa w Warszawie.

Napisała również inne piosenki, które podczas okupacji krążyły anonimowo pod różnymi tytułami: „Kujawiak konspiracyjny”, „W Afryce czy Europie”, „Smutna rzeka”.

WOJNA

Krystyna była w rodzinnych Mazurkach, gdy Niemcy zaatakowali Polskę. Niezwłocznie podjęła decyzję o wyjeździe do Warszawy. Podróż odbywała się w trudnych warunkach, ale już 4 września Krahelska udzielała pomocy rannym w zbombardowanym mieście. W grudniu złożyła przysięgę w Związku Walki Zbrojnej, potem w AK. Przyjęła pseudonim „Danuta”. Włączyła się aktywnie w pracę konspiracyjną. Została kurierką i łączniczką. Pełnienie takie funkcji było trudne i niebezpieczne, gdyż przewoziła nie tylko prasę i dokumenty, lecz także broń i amunicję. Działała nie



tylko na terenie Generalnej Gubernii. Jeździła także na Polesie.

W latach 1943-44 pracuje jako pielęgniarka w szpitalu we Włodawie. Jednocześnie opiekuje się chorym ojcem. Po nocach udziela pomocy rannym partyzantom, szkoli młode dziewczyny do służby sanitarnej.

Latem 1944 roku Krystyna wraz z rodzicami mieszka w Krakowie. W lipcu wyjeżdża do Warszawy. Rodzice namawiają ją do pozostania w bezpiecznym Krakowie – w ostatnim okresie była osłabiona po niewyleczonej grypie, miała problemy z sercem.

PRZECZUCIE KOŃCA...

„Gdy przyjdzie dzień odlotu do krainy innej, chcę odlecieć w porywie szczęścia jak ptak, co uciekając z ziemi niegościnnej, ziemię na niebo zamienia"

Jest to ostatni czterowiersz, jaki Krystyna napisała w swoim życiu.

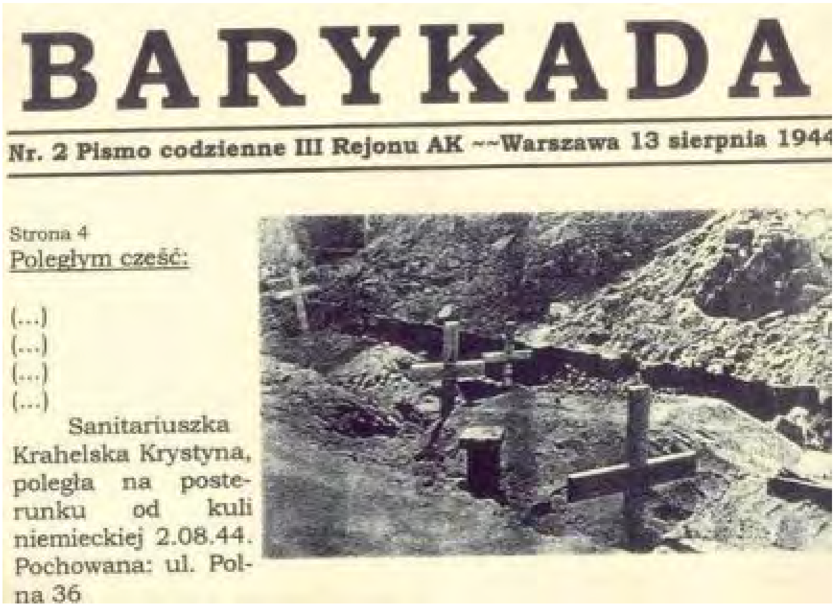
1 sierpnia 1939 roku wybuchło Powstanie Warszawskie. Krystyna otrzymuje przydział sanitariuszki do kadrowego dywizjonu 7 pułku ułanów lubelskich do plutonu 1108. Jej pluton miał zdobyć z rąk Niemców drukarnię i redakcję „Nowego Kuriera Warszawskiego". Trwały ostre walki, udało się jej udzielić pomocy dwóm rannym żołnierzom. Gdy starała się dotrzeć do trzeciego, została postrzelona przy ulicy Polnej. Dostała trzy strzały w płuca. Bez względu na silny ostrzał, pospieszyli do niej z pomocą jej przyjaciele – Janka Krassowska „Jagienka" i kapral Zbigniew Wrześniowski „Wrzos". Próbowali ściągnąć ją z linii ostrzału. „Wrzos" stracił życie. Jeszcze przytomna Krystyna mówiła: „Odejdźcie, odsuńcie się, zostawcie mnie." Janka musiała



zostawić przyjaciółkę wraz z rozkazem o wycofaniu się plutonu.

A Krystyna została.. Leżała przez resztę dnia na ulicy Polnej wśród słoneczników....

„Bo ona upadła nie na bruk, co byłoby dla niej straszne, ona upadła na pole działkowe, leżała wśród słoneczników, kartofli, buraków, na tej ziemi, która dla nie była wszystkim"



BARYKADA

Nr. 2 Pismo codzienne III Rejonu AK --Warszawa 13 sierpnia 1944

Strona 4

Poległym cześć:

(...)
(...)
(...)
(...)

Sanitariuszka Krahelska Krystyna, poległa na posterunku od kuli niemieckiej 2.08.44. Pochowana: ul. Polna 36

Wieczorem, gdy było już bezpiecznie, patrol zabrał Krystynę do szpitala. Była już nieprzytomna. Operowano ją przez kilka godzin, ale nad ranem umiera.

2 sierpnia, w drugim dniu Powstania, zmarła śmiercią żołnierza Krystyna Krahelska, modelka pomnika Syreny, autorka hymnu Polski Walczącej „Hej chłopcy, bagnet na broń".

Jasnowłosa, zielonooka dziewczyna z Kresów...

»»»



»»» Została pochowana na cmentarzu Służewieckim, przy ulicy Renaty po ekshumacji zwłok w dniu 9 kwietnia 1945 roku. Na pogrzebie była Pani profesor Ludwika Kraskowska Nitschowa. Na domu, w którym mieszkała Krystyna Krahelska, przy ulicy Rakowieckiej róg Łowickiej, od wielu, wielu lat wisi wmurowana tablica ku czci Jej Pamięci.

Ze wspomnień matki Krystyny:

„Dookoła pomnika Syreny Warszawskiej – do którego pozowała moja córka Krystyna – narosło z czasem wiele legend. Wiążą one, a nawet utożsamiają Krystynę z Syreną, nadając prawdziwej Krystynie postawę monumentalną i bohaterską. Krystyna prawdziwa nigdy nie pragnęła być bohaterką, nigdy nie marzyła o sławie w jakiejkolwiek postaci. Pragnęła jedynie być we wszystkim sobą i wyśpiewać siebie – od źródeł, od korzeni, dając ludziom prawdziwe piękno, a cierpiącym ukojenie".

Anna Godunowa, Mazurki-Brześć



Mazurki dzisiaj



LACHOWICZE

Dzisiejsze Lachowicze są niewielkim miastem położonym w obwodzie brzeskim. Nazwa tej miejscowości pochodzi od staroruskiego określenia Polaków – Lachów. Ciekawie, że mimo wojen i deportacji, Polacy i katolicy do tej pory stanowią wielki procent wśród mieszkańców Lachowicz, tak, że miasto całkiem odpowiada swej nazwie…

Pierwsza wzmianka o Lachowiczach datowana jest na 1492 r., kiedy król Kazimierz Jagiellończyk specjalnym przywilejem pozwolił A.M. Gasztołdowi organizować tam jarmarki.

W 1537 r. ówczesny właściciel Lachowicz, Stanisław Gasztołd, podarował miejscowość Barbarze Radziwiłłównie, późniejszej królowej Polski, po której śmierci Lachowicze stały się własnością Zygmunta Augusta.

Kolejnymi właścicielami miasteczka zostali Chodkiewiczowie. W kwietniu 1572 r. ostatni Jagiellon na polskim tronie podarował miejscowość Janowi Hieronimowi Chodkiewiczowi. Jan Hieronim, absolwent Uniwersytetu Albertyna w Królewcu, reprezentował pierwsze, całkowicie spolonizowane kulturalnie pokolenie pierwotnie ruskiego rodu Chodkiewiczów.

W 1563r. został on starostą żmudzkim, a w 1566r. administratorem Inflant oraz marszałkiem wielkim litewskim. Z tytułem hetmana inflanckiego został naczelnym wodzem armii polsko-litewskiej w Inflantach i walczył tam ze Szwedami i Rosjanami.

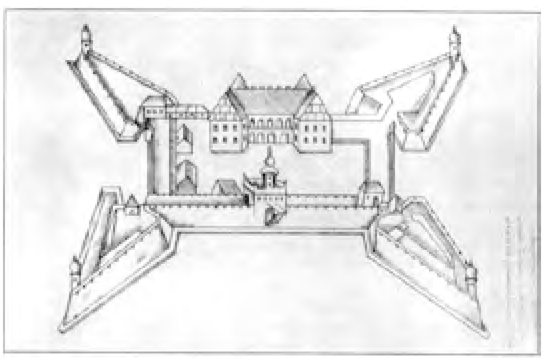
Jego syn i spadkobierca, słynny hetman Jan Karol Chodkiewicz, zrobił z Lachowicz jedną z najpotężniejszych twierdz w Rzeczypospolitej. Według danych historycznych długość jej murów wynosiła 1 kilometr. W skład twierdzy wchodził budynek mieszkalny w kształcie litery ”U” oraz zabudowania gospodarcze i dziedziniec w obrębie murów. W narożnikach muru znajdowały się trójkątne bastiony. Wjazd do zamku



Jan Karol Chodkiewicz

prowadził przez wieżę bramową i most zwodzony. Twierdza miała cztery bastiony i trzy nadszańce: bastion od strony sadu z nadszańcem; bastion położony niedaleko ”kawalera rynkowego”; bastion wodny z nadszańcem i bastion pusty, ponieważ nie miał nadszańca (zwanego też kawalerem). Na bastionie sadowym rozmieszczono ciężkie działa (”Cantor” i ”Bazyliszek”), na nadszańcu miało stanowisko strzeleckie działo zwane «Wieloryb. Jedna strona bastionu miała kazamatę z działem ”szrotowym”. Naprzeciw bramy znajdował się szaniec lub kawaler z 18-funtowym działkiem ”Samson”.

»»»





»»» Pierwsze oblężenie twierdza wytrzymała jeszcze przed śmiercią Jana Karola, kiedy w 1595 r. bezskutecznie oblegali ją Kozacy Nalewajki.

Po Chodkiewiczach Lachowicze zostały własnością Sapiehów. Kolejną próbą dla miasteczka i twierdzy było oblężenie w 1660 r. przez wojska moskiewskie. Obroną twierdzy dowodził wtedy Michał Judycki, wojski rzeczycki. Dnia 23 marca 1660 r. armia moskiewska obległa zamek, który podczas 3 miesięcy wytrzymał cztery szturmy Rosjan. Zbliżająca się odsiecz pod dowództwem Stefana Czarnieckiego i Pawła Sapiehy sprawiła, że Rosjanie zwinęli oblężenie, zostawiając kilka tysięcy piechoty w obozie dla blokowania twierdzy i ruszyli naprzeciw zbliżającej się odsieczy. Przegrana przez Rosjan bitwa pod Połonką uratowała broniące się od trzech miesięcy Lachowicze. Na wieść o klęsce siły rosyjskie odeszły spod Lachowicz, a 2 lipca pod mury twierdzy przybyła zwycięska armia polsko-litewska. Udaną obronę Lachowicz ówcześni przypisywali interwencji Matki Boskiej, przez co Lachowicze zyskały miano "litewskiej Jasnej Góry".

Faktem jest, iż pięć lat przed bohaterską obroną, w obliczu rabunku, zbrodni i pożogi, jaką niosły wojska moskiewskie na wschodnich ziemiach Rzeczypospolitej, do Lachowicz przywieziono cudowny obraz Matki Bożej z miejscowości Białynicze. Według dawnych podań karmelici, do których należał obraz, długo poszukiwali malarza mogącego namalować oblicze Matki Bożej, aż w 1634 r. tajemniczy wędrowny malarz-anioł ofiarował im namalowany na okiennicy obraz. Postać Maryi z Dzieciątkiem Jezusem miała niedokończoną szatę, o wykończenie której miała zadbać, zdaniem autora, sama Matka Boża.

Podczas wyzwolenia Lachowicz, jak pisze w pamiętniku Jan Chryzostom Pasek, Polacy wraz z Litwinami: *"idąc, odprawowali swoje nabożeństwa, śpiewali godzinki, kapelani na koniach jadąc, słuchali spowiedzi. Każdy dysponował się, żeby był jak najgotowszy na śmierć. Po zwycięstwie, Czarniecki z Sapiehą triumfalnie wchodzili do Lachowicz i wraz z tłumami chóralnie odśpiewali Te Deum Laudamus przed obrazem z Białynicz, a był to dzień Nawiedzenia Najświętszej Marii Panny."*

Cudowny obraz pozostał w twierdzy lachowickiej ponad wiek i uroczyście powrócił do Białynicz w 1760 r. Na jednym z wotów ofiarowanych w sanktuarium białynickim widniał napis:

"Nieskończone oddaje Tobie Panno dzięki
Żeś mię nieprzyjacielskiej uchowała ręki.
Przez Cię Lachowickiego Zamku obroniłem
Przez Cię szturmy Moskiewskie i Szwedzkie odbiłem".

Tak Lachowicze pozostały jedynym niezdobytym przez Rosjan zamkiem, choć po zniszczeniach w miasteczku pozostało 17 domów. W związku z tym Sejm Rzeczpospolitej dwukrotnie (w 1661 r. i 1678 r.) zwalniał mieszczan z wszelkich podatków.

Jednak już na początku XVII wieku, podczas wojny Północnej, Lachowicze poniosły nowe klęski. Oto, co napisano o tych wydarzeniach w przewodniku "Nowogródek i okolice", wydanym w 1934 r.: *"Kiedy Karol XII rozpoczynał w 1706 r. kampanię na Litwie i zajmował okolice Grodna, wojska Piotra I stały na leżach zimowych od Mińska aż do Lachowicz, skąd gęstymi podjazdami nie przestawali napastować Szwedów. Wysłał więc Karol pułk. Trautfetter we 400 koni dla wyparowania z pod Lachowicz Rosjan. Ale ci za zbliżeniem się jego spaliwszy miasto, zamknęli się w twierdzy.*

Inny pułk. szwedzki baron Creutz stanął pod zamkiem i rozpoczął oblężenie. Bronili się dzielnie Kozacy, usiłując wycieczkami i gęstemi z dział wystrzałami zapalić pozostałe od poprzedzającego pożaru domy w miasteczku; nic jednak dokazać nie mogli. Tymczasem znaczny oddział Rosjan zbliżał się od Klecka na odsiecz, o czem Creutz przestrzeżony postanowił ich uprzedzić. Zostawiwszy zatem Trautfettera pod Lachowiczami, poszedł do Klecka. Lecz oblężeni w Lachowiczach tak silnie zaczęli dokuczać Trautfetterowi, że ten spiesznej musiał żądać pomocy. W kilka godzin po rozprawie Kleckiej, już Creutz stanął na powrót pod zamkiem Lachowickim. Oblężeni mniemając z razu, że pobity powracał, odgłosem trąb i kotłów radość swoją okazali. Wkrótce jednak zawiodła ich nadzieja, bo za przybyciem reszty oddziału szwedzkiego, ukazały się zdobyte trofea, zaczęto robić przykopy i usypywać baterje. Na koniec 2-go maja, załoga złożyła broń i oddała Szwedom fortecę z 9 działami. W r. 1709 Grzegorz Ogiński, hetman wielki litewski wsparty wojskami Piotra I, ubiegł Lachowicze, ale napadnięty przez siły Alex. Sapiehy Marszałka W. L. trzymającego stronę Leszczyńskiego, po krótkiej walce musiał się cofnąć, zostawiwszy zwycięzcom cały sprzęt wojenny".

Według "Słownika geograficznego Królestwa Polskiego i innych krajów słowiańskich", po Sapiehach zniszczone wojną Lachowicze zagarnął wszechwładny biskup wileński Ignacy Massalski; lecz sejm tegoż roku chcąc, aby mocna forteca pozostała w zawiadywaniu państwa, postanowił zamienić królewszczyznę lachowicką na starostwa połągowskie, mejszagolskie »»»





»»» i szyrwinckie z przyległościami. W tym samym roku, znów doceniając ważne znaczenie strategiczne twierdzy, sejm znowu zwolnił Lachowicze na 10 lat od podatków.

Po II rozbiorze Rzeczypospolitej Lachowicze zajęła Rosja. Pod rosyjskim zaborem miasteczko stopniowo podupadało. Dopiero w 1897 r. do Lachowicz dotarła linia kolejowa Wilno – Sarny. Według danych wyżej wspominanego ”Słownika geograficznego” pod koniec XIX wieku miasteczko ”*posiadało do 2 tysięcy mieszkańców obojga płci, cerkiew prawosławną, szkołę żydowską i meczet tatarski, zasiedlone przeważnie przez Żydów i nieco Tatarów”.*

W okresie międzywojennym Lachowicze należały do powiatu baranowickiego. W 1931 r. miejscowości nadano status miasta. W ”Przewodniku po okolicach mickiewiczowskich i reytanowskich ziemi Nowogródzkiej” wydanym w 1938 r. mówi się, że w Lachowiczach w tym okresie znajdowały się: urząd gminny, zarząd miasta, urząd pocztowo-telegraficzny, apteka, 3 hotele, 2 restauracje, herbaciarnia i duży młyn parowy. Miasto było znane z handlu końmi oraz z obszernych ogrodów.

ZABYTKI

Turystom odwiedzającym Lachowicze przed II wojną światową ”Przewodnik po okolicach mickiewiczowskich i reytanowskich” rekomendował zobaczyć najpierw kościół farny ufundowany przez Jana Karola Chodkiewicza w 1602 r. i odnowiony przez Sapiechów, a po spaleniu odbudowany na nowo. Przez dłuższy czas przypuszczano, że w tym kościele zostały złożone szczątki posła nowogródzkiego na sejm Tadeusza Rejtana, zmarłego w 1780 r. Jednak powołany w 1930 r. komitet poszukiwań jego szczątków, po przeprowadzeniu badań w Lachowiczach ustalił, że przypuszczenie to jest błędne, ponieważ: 1) kościół wybudowano w 20 kilka lat po śmierci Reytana, 2) kościół nie posiada podziemi i 3) rozkopy, dokonane w miejscowościach wskazanych przez tradycję lokalną, nie dały żadnych rezultatów.

Los tej świątyni był podobny do losu licznych innych kościołów na dawnych Kresach. Po upadku powstania styczniowego był on zasadniczo przebudowany i zamieniony na cerkiew prawosławną, której nigdy katolikom nie zwrócono. Cerkiew zaś zamknięto przez władze radzieckie po II wojnie światowej i zburzono w latach 1960-ch.

Na początku XX wieku dzięki staraniom miejscowych katolików, między innych rodzinie Reytanów, w mieście zbudowano kolejny, neogotycki **kościół pw. św. Józefa**. Jednak po II wojnie światowej został on przez komunistyczne władze przebudowany na przychodnię lekarską, która mieści się w nim do dzisiaj. Wierni próbowali odzyskać świątynię, ale nic z tego nie wyszło. Dopiero w latach 1990-tych obok miejsca, na którym stał niegdyś stary kościół chodkiewiczowskiej fundacji, katolicy zbudowali nową świątynię.

Jeżeli zaś chodzi o **twierdzę** lachowicką, to już w XIX wieku pozostały po niej tylko ruiny. Obecnie na miejscu dawnej fortecy postawiono kamień pamiątkowy, a w centrum


Józef Rejtan, główny fundator kościoła w Lachowiczach


Fronton kościoła w Lachowiczach

miasta mieści się jeszcze jeden monument z herbem Lachowicz i tabliczką upamiętniającą dzieje miejscowości.

Na **miejskim cmentarzu** można zobaczyć kilka zrujnowanych kaplic, w tym kaplicę podpułkownika Dominika Rejtana, zmarłego w 1851 r.

Niestety, z powodu licznych wojen oraz walki reżimu komunistycznego z religią, dzisiejsze Lachowicze nie są bogate w ciekawe zabytki. Jednak miasto może służyć jako baza turystyczna do odwiedzenia licznych dawnych dworów szlacheckich położonych w okolicach.

Wśród nich warto wymienić chociażby **Hruszówkę**. Dwór w Hruszówce znany jest od XVI wieku jako majątek Radziwiłłów. Od XVII wieku należał do rodziny Reytanów. Majątek w Hruszówce był centrum kulturalnym tego regionu. Gościli tu między innymi Julian Ursyn Niemcewicz, Napoleon Orda, Eliza Orzeszkowa, Jan Bułhak. W tym malowniczym miejscu urodził się Tadeusz Reytan, wielki obrońca honoru Rzeczypospolitej. Tu też spędził ostatnie lata swego życia. Teren dawnej posiadłości Reytanów zajmuje ok. 14 ha. Wielką jego zaletą jest, że cały zespół zabudowy dworskiej zachował się niemal w komplecie, a kompozycja przestrzenna nie została naruszona. Na terenie posiadłości znajdował się dom ekonoma, oranżeria, gorzelnia, lodownia, browar oraz dwie stajnie. Z prawej strony od głównego budynku mieści się najbardziej cenny element całej posiadłości: jest to mająca ponad 300 lat, prawie już zrujnowana, niewielka murowanka – najstarsza zabudowa majątku. To właśnie w tej murowance spędził ostatnie 7 lat swego życia Tadeusz Reytan. Znajdowały się tam archiwum, biblioteka oraz rzeczy osobiste Reytana.

Ciekawym zabytkiem jest także zespół dworski w **Sowejkach**, należący kolejno do Rdułtowskich, Bennigsenów i Czapskich, a od 1860 r. do 1939 r. do Nowickich. Barokowo-klasycystyczny dwór z XIX w. odbudowano w l. 50. XX w. po zniszczeniach wojennych. Dwór otacza park krajobrazowy z systemem stawów i kanałów, murowaną altanką na wyspie i aleją wjazdową. Zachowały się także zabudowania gospodarcze (m.in. neogotycka gorzelnia) z kamienia polnego i cegły, o szczytach dekorowanych ceglanym fryzem. Na jednym z nich »»»

»»» są inicjały dawnych właścicieli: "T.N.".

W **Mazurkach** koło Lachowicz zachowały się jeszcze fundamenty folwarku Krachelskich, gdzie 24 marca 1914 r. urodziła się Krystyna Krachelska.

W odległości kilkudziesięciu kilometrów od Lachowicz znajduje się **Florianów**, dawny majątek rodziny Bochwiców, gdzie w latach 1908 i 1909 spędziła wakacje Eliza Orzeszkowa. W majątku zaś **Nacza** spędził swe młodzieńcze lata Kazimierz Napoleon Czarnocki (1866 – 1937), polski lekarz i tłumacz.

Wizerunek Lachowicz byłby niepełny, jeżeli w niniejszym artykule nie wspomniano by o wybitnych postaciach związanych z miastem i okolicami.

OSOBY

Teodor Jewłaszewskic (1546 – 1604) – szlachcic, podsędek nowogródzki, urodzony w Hocławszczyźnie (dzisiejszy rejon Lachowicki), autor ciekawego pamiętnika opowiadającego o dziejach Rzeczypospolitej w II połowie XVI w.

Jan Karol Chodkiewicz (1560 – 1621), jeden z najwybitniejszych europejskich dowódców wojskowych początku XVII w.

Tadeusz Reytan (ur. 20 sierpnia 1742 w Hruszówce koło Lachowicz, zm. tamże w1780), polski szlachcic, w 1773 r. poseł województwa nowogródzkiego na Sejm Rozbiorowy w Warszawie. Jego bohaterski opór przeciw skonfederowaniu Sejmu Rozbiorowego uznawany jest za jedną z ostatnich pozytywnych prób zastosowania liberum veto.



Franciszek Ksawery Niesiołowski-Korzbok (ur. 1771 w Lachowiczach, zm. 1845), polski generał powstania kościuszkowskiego, generał brygady armii Księstwa Warszawskiego, generał brygady Królestwa Polskiego, generał brygady powstania listopadowego, senator-kasztelan Królestwa Polskiego od 8 sierpnia 1831 r., poseł na Sejm w 1830 r.

Józef Reytan (1857 – 1910), właściciel Hruszówki, polski działacz społeczny, jeden z głównych fundatorów neogotyckiego kościoła w Lachowiczach

Sergiusz Piasecki (ur. 1901, choć sam podawał rok 1899, w Lachowiczach – zm. 1964), jeden z najpopularniejszych polskich pisarzy XX w.

Krystyna Krahelska (ur. 24 marca 1914 w Mazurkach k. Lachowicz, zm. 2 sierpnia 1944) – poetka, harcerka, etnograf, żołnierz Armii Krajowej, uczestniczka powstania warszawskiego.

Jakub Szynkiewicz (ur. 16 kwietnia 1884 r. w Lachowiczach k. Baranowicz – zm. 1966 r.), muzułmański duchowny, teolog i tłumacz, od 1925 r. wielki mufti polskich muzułmanów.

Henryk Grabowski (prawnuk Tadeusza Reytana i ostatni właściciel Hruszówki), polityk i działacz społeczny okresu międzywojennego. Powtórzył gest swego pradziada Tadeusza, protestując podczas posiedzenia Sejmu Rzeczypospolitej 14 kwietnia 1921 r. przeciwko ratyfikacji traktatu ryskiego, pozostawiającego pod władzą Sowietów wielotysięczne rzesze Polaków na ziemiach położonych na wschód od ustalonej w traktacie granicy. Henryk Grabowski zginął zamordowany przez chłopów we wrześniu 1939 r.

Dymitr ZAGACKI,
Baranowicze

OPUSZCZONE KRESOWA GNIAZDA:

SOWEJKI

Foto Anna Godunowa



Kresowe dworki i pałacyki...Kiedyś stanowiły centra kulturalne, najważniejsze ogniwa polskiej tożsamości i polskiego ducha. Tu rodziły się i umierały, stąd szli walczyć w powstanaich o niepodległość i godność Ojczyzny, stąd byli wywożeni na Syberię, a po najściu ordy komunistycznych barbarzyńców byli niszczeni i wypędzani na zawsze... Dziś pozostały po nich .... i zdziczałe parki.



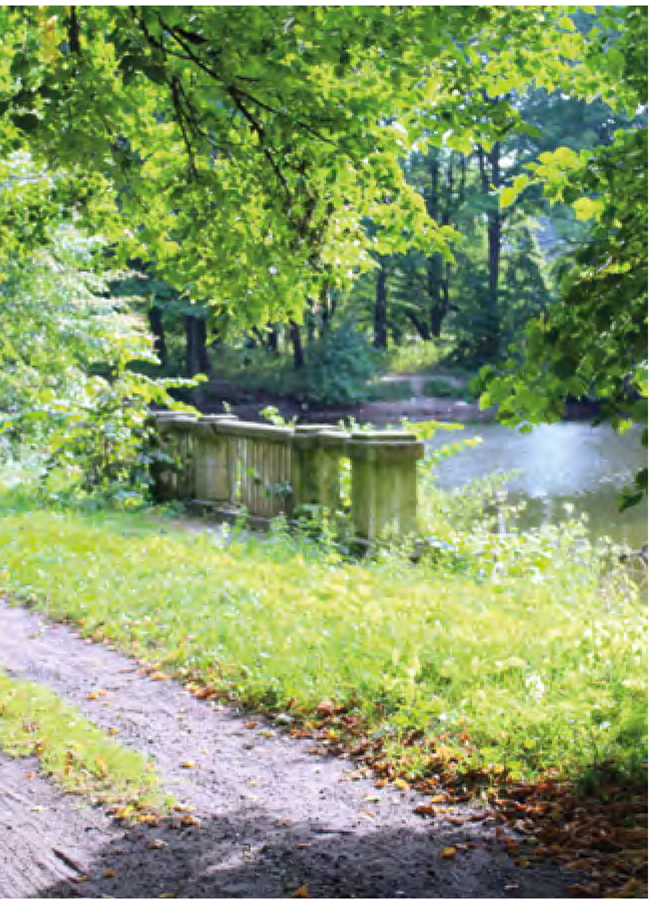
Zespół dworski w dawnym majątku ziemskim, należącym kolejno do Rdułtowskich, Bennigsenyw i Czapskich, a od 1860 r. do 1939 r. do Nowickich .Barokowo-klasycystyczny dwór z XIX w. Częściowo odbudowano w l. 50. XX w.. Budynek parterowy na planie prostokąta, z piętrową częścią środkową.W obu elewacjach parawanowe szczyty o falistej linii. Od frontu głęboki portyk z czterema parami kolumn dźwigających balkon otoczony tralkową balustradą.Przed wejściem niewielki taras, większy taras przy elewacji ogrodowej. W otoczeniu park krajobrazowy z systemem stawyw i kanaływ,murowaną altanką na wyspie i aleją wjazdową. Zachowały się zabudowania gospodarcze (m.in. neogotycka gorzelnia) z kamienia polnego i cegły,o szczytach dekorowanych ceglanym fryzem.Na jednym z nich inicjały dawnych właścicieli T.N".



Pałac w Sowejkach został kupiony niedawno na aukcjii za 200 tys. dolarów. Tym razem znalazł nabywcę. Gdy dwa lata wcześniej próbowano go sprzedać za 400 tys. dol., nie znalazł się chętny. Od tego czasu na kolejnych aukcjach cenę stopniowo obniżano.

W skład parkowo-dworkowego kompleksu wchodzi oprócz pałacu park o powierzchni ponad 11 ha, w którym kiedyś rosło 27 gatunków drzew i krzewów, w tym jesiony, wierzba biała, orzech szary i modrzew europejski.













PRZEZ BŁOTNĄ PUSTYNIĘ

POLESIE W REPORTAŻACH JÓZEFA MACKIEWICZA



Literatura i publicystyka II Rzeczpospolitej, o czym mieliśmy już okazję w tym miejscu pisać, poświęcała Polesiu wiele uwagi. Przedwojennych autorów, penetrujących poleskie pustkowia, pociągała przede wszystkim ich dziewiczość. *W środku Europy, w dwudziestym wieku – tak bardzo dziwny, egzotyczny kraj!* – pisał F. A. Ossendowski, którego „Polesie" słusznie uznawane jest za szczytowe osiągnięcie literatury kresowej 20 – lecia międzywojennego. Pośród oczarowanych Polesiem literatów, którzy pozostawili po sobie dzieła o wysokich wartościach pisarskich, ważną pozycję zajmuje Józef Mackiewicz, autor wydanego w 1938 roku „Buntu rojstów". Warto przypomnieć, że w latach powojennych twórczość J. Mackiewicza, jednego z najwybitniejszych polskich pisarzy i publicystów XX w., znana była tylko nielicznym. Zwalczany przez władze PRL za swój bezkompromisowy antykomunizm przez dziesięciolecia pozostawał zakazanym pisarzem polskiej emigracji. Na twórczość literacką J. Mackiewicza, cechującą się niezwykłą różnorodnością poruszanych zagadnień, składają się m. in. tak głośne książki jak: „Zbrodnia katyńska w świetle dokumentów", „Droga do nikąd", „Kontra", „Nie trzeba głośno mówić".

J. Mackiewicz należał do najoryginalniejszych postaci środowiska literackiego i kulturalnego przedwojennego Wilna. Swoją pracę literacką rozpoczął w latach 20 – tych jako dziennikarz wileńskiego „Słowa", autor przede wszystkim znakomitych reportaży, rzucających nowe, odważne światło na konflikty społeczne Wileńszczyzny i Polesia. Reportaże te, publikowane na łamach wileńskiego dziennika od 1935 do 1937 roku, posłużyły J. Mackiewiczowi za materiał do jego pierwszej w pełni dojrzałej i przychylnie przyjętej książki – „Bunt rojstów".

„Bunt rojstów" to w dużej mierze pasjonujący dokument obyczajowy i socjologiczny życia poleskiej prowincji, ukazanej przez autora jako „ziemia nieznana", targana konfliktami społecznymi, wyznaniowymi i ekonomicznymi. J. Mackiewicz, wytrawny podróżnik i bezkompromisowy dziennikarz, w „interwencyjnych" partiach swoich reportaży krytycznie wypowiada

się o macoszym traktowaniu przez państwową administrację Polesia, wskazując na ciężką sytuację materialną i społeczną jego mieszkańców. W reportażu „Taka sobie broszurka…" polemizuje z „Echami z Puszczy Poleskiej" – publikacją retuszującą kresową rzeczywistość w duchu propagandowego optymizmu. Z szacunku dla prawdy, tak dobrze poznanej podczas dziennikarskich peregrynacji i rażąco wypaczonej w tytułowej broszurce, rodzą się gorzkie refleksje autora: *Powiadają, że polityka oświatowa carskiej Rosji polegała na utrzymaniu milionowych mas chłopstwa w ciemnocie. Polityka ta fatalnie przegrała po raz pierwszy na polach Prus Wschodnich, a następnie we wszystkich bitwach aż do wielkiej rewolucji. Polityka Polski kroczy odmiennymi drogami. Tak dalece nawet różnymi, iż w niektórych dzielnicach „kresów" zdawać się może, że poza szkołami i „bastionami kultury" w postaci placówek policji i placówek Korpusu Ochrony Pogranicza, nie daje tamtejszej ludności – nic (…). Mnie się zdaje, że czas już najwyższy skończyć z poglądem na tę resztówkę z W. Ks. Litewskiego, jako na bardzo szczęśliwą sielankę, której synom zależy tylko na jednym w życiu, aby pod urzędową batutą pozwolono im śpiewać chóralnie: „Hej, strzelcy wraz"…*

W szerokim, barwnym obrazie Polesia nie mogło zabraknąć miejsca na ciekawe obserwacje kresowej przyrody, w których najpełniej uwidocznił się kunszt literacki J. Mackiewicza, znawcy ornitologii i wielkiego miłośnika ptaków: *Wielki, nieporównany, chyba do Raju samego, panuje nastrój w puszczach Polesia. Teraz jest wiosna i gwar, ale gwar ptaków i zwierząt. Popłynąłem w górę Horyniem, a później przeskoczyłem na rzeczkę Wietlicę, która od południa wpada do Prypeci. Łódź sunie po wodzie, która jest ciemna, ale ciemnością kryształu. Odbija drzewa, krzaki i sitowia, jak w lustrze. Ze wszystkich stron krzyczą kaczki. Całe ich stada krążą w górze. Ciągną sznury gęsi. Poważne bociany siedzą na dębach. Dzięcioł stuknie w chore drzewo. Nadleci stadko szczygłów. Gdy wieczór zapada, puszcza woła, krzyczy, piszczy, śpiewa i patrzy w zwierciadło wielkich wód. – Ech! – jęknął mój wioślarz i zaciągnął do wtóru ptaków:*

A ja leżu i dumaju
szto lichuju żynku maju…

Tak płynąć można dzień i noc, i drugi dzień, i trzecią noc, wygodnie na słomie rozciągnięty, patrzeć, słuchać i myśleć.

W kreślonych przez J. Mackiewicza opisach przyrody daje o sobie znać dar konstruowania tyleż śmiałych, co trafnych porównań. Autor, urzeczony pięknem Prypeci, *najdzikszej rzeki w Europie, tego jej Nilu, który co rok wylewa na dziesiątki wiorst i darowuje darmo rybę mieszkańcom Polesia*, tak wspomina jedną ze swych reporterskich podróży: *Z Pińska do Dawidgródka jest 120 kilometrów wodą. Najpierw Prypecią, później w górę Horyniem. Jest to jedyny w swoim rodzaju szlak wodny w Europie. Czytałem wiele razy opisy podróżnicze po Amazonce, rzece, która zalewa wszerz wiele tysięcy kilometrów kw. puszczy. Na podstawie tych opisów, pozwolę sobie porównać właśnie podróż Prypecią do podróży Amazonką. Różnica, oczywiście, jest zawsze duża, ogromna nawet, ale różnica nie jakościowa, a ilościowa. Pierwiastki pozostają jednak te same. Tam rzeka stokroć razy większa, puszcze stokroć razy bardziej dziewicze, osiedla o tyleż rzadsze, barwy bardziej kontrastowe. Prypeć zachowuje podobne cechy, zmniejszone tylko wielokrotnie. Tym niemniej nadają jej one charakter zupełnie swoisty, czegoś, co w reszcie Europy należy do dalekiej przeszłości, do średniowiecznych bajek. Dlatego, powtarzam, nie można porównać piękna Polesia ani do Polskich Tatr, ani do polskiego morza. Na zachodzie Europy jest wiele piękniejszych gór i wiele piękniejszych mórz (nasze jest w ogóle najbrzydsze), natomiast nie ma i nie będzie już takiej rzeki, rozlanej wśród dziewiczej puszczy na przestrzeni setek kilometrów.*

Symbolem zapomnianego, egzotycznego Polesia staje się w reportażach J. Mackiewicza wieś Mitrycze – bohaterka jednego z najciekawszych rozdziałów książki, zatytułowanego „Przez błotną pustynię wiedzie droga do raju." Odizolowana od cywilizowanego świata wieś, w której pozostał już tylko jeden, ostatni gospodarz i do której trzeba się przedzierać przez „błotną pustynię", dzikie ostępy, trzęsawiska i lasy jawi się w opisach autora niczym legendarna Arkadia. Krążące o niej opowieści, z którymi zetknął się autor podczas swych poleskich wędrówek, brzmią nieprawdopodobnie: *Że ludzie w Mitryczach nie wiedzieli o wielkiej wojnie, że żyją tam w patriarchalnych warunkach, nieomal przedhistorycznych, że uciekają w błota na widok obcego człowieka, że… tam nigdy jeszcze nie był sekwestrator!* J. Mackiewicz po długiej i emocjonującej wędrówce przez błota dociera wreszcie do „raju", by naocznie się przekonać, że *Owszem, są takie Mitrycze na świecie, ale wyglądają w życiu, z bliska, inaczej. Żadna droga tamtędy nie wiedzie, to prawda. Ale dlatego może leżą właśnie na drodze tak zwanego postępu cywilizacyjnego, który wiedzie nieuniknioną walkę ze wszystkim, co się odeń stroni. Mitrycze, jak niedźwiedź, podjęły tę walkę, jeszcze walczą…ostatnią zamieszkałą chatą…*

Skalę cywilizacyjnego zapuszczenia Polesia, obok opisów »»»



»»» legendarnych Mitrycz, dobrze oddają uwagi autora poświęcone kresowej kolei: *Jak Polesie jest egzotyką Europy, tak niektóre rozkłady jazdy, łączące wschodnie, węzłowe ośrodki, stanowią egzotykę europejskich rozkładów jazdy. Są czasem fantastyczne. Być może, ażeby pamięć po nich nie zaginęła dla potomności, pozostawia się je na pewnych odcinkach. W ten sposób, korzystając z pośpiesznego pociągu, który zbliżył Wilno do Polesia, wyjechałem o godzinie 8.20 rano. Stanąłem w Telechanach na drugi dzień o godzinie 2 po południu. Coś ponad 300 km drogi zmuszony byłem podróżować dokładnie 28 godzin 15 minut! Dłużej więc niż z Wilna do Paryża. – Ależ! – Powiedział mi ktoś – przecież trzeba było jechać nie o 8.20, a 18.30. O wiele krócej. Tylko 19 godzin z minutami!... – Dziękuję. Będę wiedział. I to się nazywa Europa?*

W książce znajdzie czytelnik również opisy codziennego życia Poleszuków, barwne i sugestywne portrety chłopów czy przedstawicieli lokalnych sekt religijnych. Ich ważnym literacko i poznawczo elementem jest miejscowy dialekt. J. Mackiewicz chętnie przytacza wypowiedzi swoich poleskich rozmówców, pozwalając im przemawiać własnym językiem.

„Bunt rojstów" to historia wschodnich rubieży przedwojennej Polski opowiedziana z podziwu godnym talentem literackim i zarazem z zachowaniem wierności szczegółom. Wielki, podróżniczo-dziennikarski wysiłek J. Mackiewicza został zwieńczony sukcesem: u schyłku II Rzeczpospolitej powstał, jak napisał w przedmowie do książki F. A. Ossendowski, *ważny i pouczający dokument historyczny wartości pierwszorzędnej.* Słowa wybitnego pisarza i podróżnika, sekundującego debiutowi książkowemu młodego J. Mackiewicza, są wciąż aktualne. Warto, aby o tym wiedzieli nie tylko historycy zajmujący się dziejami Kresów, ale wszyscy czytelnicy rozmiłowani w pięknie polskiej literatury XX wieku.

Piotr BOROŃ,
foto Aliaksiej DUBROUSKI

DWÓR NIEMCEWICZÓW W SKOKACH W ŚWIETLE BADAŃ ARCHEOLOGICZNYCH

Dziesięć kilometrów na północ od Brześcia, nad malowniczym brzegiem rzeki Leśnej, położona jest wieś Skoki. Pierwsze wzmianki dokumentalne sięgają XVI wieku, a wieś z pewnością stanowi wartość nie tylko ze względu na historię, lecz także jako obiekt turystyczny.



W różnych okresach Skoki należały do rodów szlacheckich Skakowskich i Czyżewskich, jednak najbardziej kojarzone są z rodem Niemcewiczów. Właśnie przedstawiciele rodu Ursyn Niemcewiczów herbu Rawicz w XVII wieku zostali właścicielami majątku w Skokach. W tym okresie ród Niemcewiczów był znany na ziemi wileńskiej, nowogródzkiej, brzeskiej. Z tego właśnie rodu pochodzi najbardziej słynny jego przedstawiciel – Julian Ursyn Niemcewicz (16.02.1758-21.05.1841): poeta, pisarz, dramaturg, działacz polityczny, poseł na Sejm Czteroletni, jeden z autorów tekstu Konstytucji Rzeczypospolitej Polskiej 1791 roku, uczestnik powstania 1794 roku oraz osobisty sekretarz dowódcy powstania – Tadeusza Kościuszki.

W latach 70-ch XVIII wieku w centralnej części wsi został wybudowany przez ojca Juliana Ursyn Niemcewicza piętrowy pałac murowany. Wykonano go w stylu przechodzącym od baroku do klasycyzmu. Zespól architektoniczny kompleksu pałacowo-parkowego składał się z części gospodarczej i dwóch oficyn: prawa (zachodnia) oficyna była przeznaczona dla służby, lewa (wschodnia) zaś pełniła funkcję stadniny. Ważnym elementem zespołu pałacowego był kościół, wybudowany w 1776 roku w północnej części wsi.

Podczas I wojny światowej przez prawie dwa lata w pałacu mieściła się kwatera dowódcy wschodniego frontu niemieckiego księcia bawarskiego Leopolda. W tym właśnie miejscu 15 grudnia 1917 roku zostało podpisane porozumienie pokojowe z Rosją Sowiecką. Po II wojnie światowej przez dłuższy czas pałac pełnił funkcję szkoły, a w okresie letnim organizowano tu obozy dla dzieci i młodzieży.

W 2002 roku na mocy Postanowienia Rady Ministrów RB zespół pałacowy w Skokach został uznany za obiekt o priorytetowym znaczeniu przeznaczony do »»»



»»» odbudowy. W 2006 roku filia „Brestrestauracjaprojekt" rozpoczęła przygotowywanie projektu. W 2010 roku zatwierdzona została koncepcja utworzenia centrum oświatowo-muzealnego na bazie dworu w Skokach. W chwili obecnej dawny dwór szlachecki stanowi kulturalno-turystyczne oraz oświatowe centrum, gdzie organizowane są wystawy, konferencje oraz inne imprezy o charakterze kulturalno-oświatowym.

Prace restauracyjne nadal trwają. W trakcie przygotowania rowu w północnej części pałacu, robotnicy odkryli ceglany mur. To odkrycie przyciągnęło uwagę archeologów, gdyż właśnie w tym miejscu mieściła się kiedyś zachodnia oficyna. Według wcześniejszych informacji, ta część budowy zniszczona została w okresie powojennym przy użyciu ciężkiej maszynerii. Jednak odkrycie muru podważyło tę teorię. Teraz to właśnie archeolodzy mieli odpowiedzieć na pytanie, czy mur ten jest częścią zachodniej oficyny.

Głównym celem badań archeologicznych było zbadanie zalegających warstw gleby na terenie budowy, a także poszukiwanie resztek oficyny i umocowań konstrukcji zabudowy z XVIII wieku.

Podczas badań odkryto pozostałości po zachodniej oficynie, zniszczonej w latach 60-ch XX wieku. O dziwo, fundament budynku oraz inne elementy konstrukcji zachowały się w stanie dobrym.

W trakcie prac archeologicznych powstał interesujący zbiór rzeczy, datowany na XVII – XX w. Na szczególną uwagę zasługuje kolekcja numizmatyczna (19 egz.). Kolekcja składa się z monet miedzianych i bulionowych. Odkryto także marmurową statuetkę Buddy z XVIII wieku wykonaną ręcznie, elementy dekoracji wnętrz, meble. Szklane naczynia z XVIII-XIX w. nie zachowały się w całości, lecz można rozpoznać czarki, szklanki, kufle oraz butelki ze szkła lokalnego, jak również pochodzące z innych krajów.

Cały ten unikalny materiał archeologiczny z czasem stanie się częścią ekspozycji zespołu historycznego „Dwór Niemcewiczów". Dzięki temu goście siedziby będą mogli na nowo odkryć rzeczy, które niegdyś należały do przedstawicieli słynnego rodu Niemcewiczów.

Zachodnia oficyna została zbadana tylko w 60%. Prace archeologiczne zawieszono z powodu problemów finansowych. Odkryte już części zabudowy czekają na konserwację bądź na całkowitą renowację. Ta druga opcja jest jednak możliwa pod warunkiem, że kontynuowane będą prace archeologiczne. Pozwoli to na stworzenie projektu całkowitej odbudowy zachodniej oficyny, która jest nieodłącznym elementem zespołu architektonicznego XVIII-wiecznej rodowej siedziby Niemcewiczów.

Aleksander BASZKOW,
Specjalista ds. archeologii Filii „Brestrestawracyjaprojekt",
doktor nauk historycznych, docent.





III OBÓZ ZUCHOWY W BRZEŚCIU

W dniach 11 – 19 lipca 2014 roku Polska Szkoła Społeczna im. I. Domeyki zorganizowała obóz zuchowy dla najmłodszych Polaków w Brześciu, członków Gromady Zuchowej „Zające na Łące".

Gościnnie lokale dla obozowych zajęć udostępniła firma AKC MOST. Rodzice opłaciły koszty wyżywienia, KG RP pomógł w zakupie materiałow biurowych i dydaktycznych. Program merytory czny na 8 dni obozu został skonstruowany oraz realizowany przez drużynową Annę Polijechową, a także wychowawczynię Irenę Russkiną. Rozpoczęcie obozu odbyło się pod hasłem „Zuchy – to my!". Dzień zaczynał się od modlitwy, hymnu gromady „Słoneczko". Drużynowa ogłaszała temat dnia, zaś wszystkie następne zajęcia, gry, majterkowania i wycieczki odpowiadały temu tematowi. Drugi dzień dzieci spędziły na iwycieczce ntegracyjnej z rodzicami do Szostakowa – miejsca urodzin Romualda Traugutta – bohatera narodowego Polski i Białorusi. Od dwóch lat harcerze Brześcia brukują tam Plac na jego cześć oraz planują wybudować nad poblizkim stawem stanicę harcerską. Mimo złej pogody udało się wyłożyć kolejny pas kamieni, poszerzając tym samym przestrzeń placu oraz posprzątać okolićę. Została także przeprowadzona historyczna gra terenowa. Trzeci dzień był poświęcony morskim przygodom i piratom. Na czwarty dzień dzieci odwiedziły ZOO, a w trakcie popołudniowych zajęć zrobiły z papieru figury zwierząt. Na piąty dzień poprzez gry dzieci poznały wszystkie rodzaje transportu, poszerzyły słownictwo związane z podróżą, nauczyły się nowych piosenek i pląsów. Szósty dzień przeszedł pod hasłem bajki. Słuchanie baiki „Kopciuszek" zostało połączone z zabawami w słowa. W sobotę rodzice, dziadkowie podziwiali nabyte umiejętności oraz różnorodną twórczość swoich dzieci. Program występu zadowolił wszystkich. Za osiem obozowych dni udało się nie tylko poszerzyć zasób polskiego słownictwa dzieci gromady, ale i je zjednoczyć. Każde dziecko otrzymało upominek od organizatorów obozu.

Irena RUSSKINA



Z głębokim żalem zawiadamiamy, że na Wieczną Wartę odszedł 4 lipca 2014 r. (w piątek) w Nanaimo (Kanada)

PROFESOR PPŁK ZBIGNIEW KABATA PS. „BOBO”,



uczony, badacz, parazytolog, żołnierz oddziału partyzanckiego „Jędrusie”.

Zbigniew Kabata urodził się w rodzinie patriotycznej, 17 marca 1924 r. w Jeremiczach, w powiecie kobryńskim, na Polesiu. Był synem kapitana Piotra Kabaty, legionisty, zawodowego oficera Wojska Polskiego, podczas II wojny światowej konspiratora Armii Krajowej.

W okresie międzywojennym Zbigniew Kabata jako harcerz pływał pod rozkazami gen. Mariusza Zaruskiego na jachcie „Zawisza Czarny”. Był również wychowankiem Pierwszego Korpusu Kadetów Marszałka Józefa Piłsudskiego we Lwowie, w jakim znalazł się w 1936 r. Podczas okupacji był żołnierzem oddziału partyzanckiego „Jędrusie”, redaktorem, drukarzem i kolporterem „Odwetu”, uczestniczył w wielu akcjach, potyczkach i walkach „Jędrusiów”. W 1964 r. napisał w Szkocji, w Aberdeen wiersz „Armia Krajowa”, który później stał się nieoficjalnym hymnem środowisk kombatanckich AK, a poszczególne strofy tego utworu cytowane były na licznych pomnikach w Polsce upamiętniających Armię Krajową i jej żołnierzy.

W 1967 r. został kierownikiem Laboratorium Parazytologii w Pacific Biological Station w Nanaimo w Kanadzie, gdzie pracował aż do emerytury.

Napisał 153 prace naukowe wydane w 15 krajach. Był również autorem książki biograficznej w języku polskim – „Żniwa na głębinie”, pisał też opowiadania w języku angielskim dla radia BBC. W Polsce, w 1993 r. ukazał się zbiór wierszy Zbigniewa Kabaty, później kilkakrotnie wznawiany. Zbigniew Kabata był w Polsce odznaczany m.in. dwukrotnie Krzyżem Walecznych, Srebrnym Krzyżem Orderu Virtuti Militari, Krzyżem Komandorskim z Gwiazdą Orderu Odrodzenia Polski., otrzymał także najwyższe kanadyjskie odznaczenie państwowe – Order of CanadaMemeber (CM).



CZEŚĆ JEGO PAMIĘCI !

Drodzy Czytelnicy,

„Echa Polesia” kilkakrotnie pisały o fenomenie naszego wybitnego Rodaka, publikowały Jego wiersze i eseje.W naszej Polskiej Szkole Społecznej im.Ignacego Domeyki zapamiętaliśmy Zbigniewa Kabatę przede wszystkim jako partyzanckiego poetę, dzielnego Jędrusia „Bobo”. Piękne wiersze Zbigniewa Kabaty wykorzystywaliśmy podczas naszych akademii, o Jego brawurowych akcjach i potyczkach uczniowie pisali wypracowania. Drugi rok w naszej Szkole organizujemy Konkurs recytatorsko-plastyczny Zbigniewa Kabaty. W tym roku , w roku Jubileuszu 90-lecia naszego Bohatera, finał Konkursu odbył się 13 kwietnia. Pierwszą nagrodę w konkursie recytatorskim otrzymała Irena Krasnowska za wiersz „Do młodych”, drugie miejsce zajęli Andrzej Szumak za „Pokolenia Kolumbów” oraz Karina Homziuk za wiersz „Gdybym spotkał się z wróżką”, trzecie miejsce – Artiom Bannikow za wiersz „Partyzant”. W konkursie plastycznym zwyciężyła Maria Prużaniec .Jesteśmy przekonani,ze utwory Zbigniewa Kabaty powinne wejść do wszystkich polskich podręczników szkolnych, a Jego biografia – być znana każdemu Polakowi na świecie. Miejsce Zbigniewa Kabaty jest obok największych bohaterów naszej Ojczyzny. „Echa Polesia”, Polska Szkoła Społeczna im.Ignacego Domeyki będą co roku organizować konkursy poezji Kabaty , będą szerzyć wiedzę o naszym wielkim Ziomku na Białorusi, by Jego poznały i pokochały następne pokolenia młodych .

Red.

Sztafeta

Czaka mieli wysokie, koliste,
mundury o żółtych epoletach.
Na czakach lśniły orły srebrzyste,
a słońce im lśniło na bagnetach.

W dym kartaczy szli ławą na wroga,
nie żałując ni życia ni męki,
i ciernista zawiodła ich droga
od Grochowa aż do Ostrołęki.

Nim ostatni żołnierz Listopada
przed niebiańskie zgłosił się ołtarze,
już z dwururki się składa
kryjak Stycznia w wytartej czamarze.

Rzucił dom i rodzinę i wszystko
w beznadziejnym do wolności biegu.
Na styczniowych zmagań bojowisku
krwawe ślady zostawił na śniegu.

Nim ostatni powstaniec styczniowy
przed tron odszedł meldować się boski,
walkę podjął strzelec legionowy,
z Oleandrów buntownik krakowski.

Ruszył w Polskę strzelec zuchowaty
zdobyć to co „obca przemoc wzięła".
Na wielki bój grały mu armaty…
i stał się cud – „jeszcze nie zginęła"!

Wyrosły hufce jak smocze zęby,
odparły falę nawały wrażej,
wolnego kraju dźwignęły zręby
i na granicach zatknęły straże.

Budowało się państwo od nowa
pod osłoną rodzimych puklerzy,
aż runęła lawina stalowa
przez granicę, po sercach żołnierzy.

Nie pomogła ni krew ni ofiary
ni uparta obrona stolicy.
Rozgniecione upadły sztandary
pod pancerną stopę gąsienicy.

Nam wypadło przejąć spadek krwawy,
podnieść broń co z martwych rąk
wypadła
i zapomnieć o sobie dla Sprawy
w ciemną noc co na kraju osiadła.

Długa była ta droga krzyżowa
młodych ludzi mego pokolenia.
Żaden rozkaz nas z niej nie odwołał,
ni zwycięstwo nie dało wytchnienia.

Nasze kroki są dzisiaj wolniejsze,
nasze oczy dzisiaj widzą tępiej,
nam zostały już tylko te wiersze -
a was młodych są całe zastępy.

Weźcie od nas pałeczkę sztafety.
Niech was wiedzie ten sam Orzeł Biały
do tej samej od wieków już mety
dla Jej dobra, dla Jej wiecznej chwały.

A gdy sił wam już zacznie brakować
aby sprostać kolejnej potrzebie,
nie przestańcie dalej maszerować,
rzućcie okiem w historię, za siebie.

Wtedy wspomnisz nas, młody dziś druhu
i pojmiesz, bez żadnych wątpliwości,
że ty jesteś ogniwem w łańcuchu,
jak i my, małą cząstką całości.

Zbigniew Kabata



